

Nr. 22
31 MAJA 1936 ROKU.
CENA 40 GROSZY.

RAJSKI PTAK...

JUNIE ASTOR, bohaterka filmu francuskiego »Świat jest piękny!«
Fot. Fr. Fuerst — Paryż.

AMAZONKA „PEŁNEJ KRWI"


Dwór Krzeczunowiczów w Jaryczowie Nowym. Fot. „As"

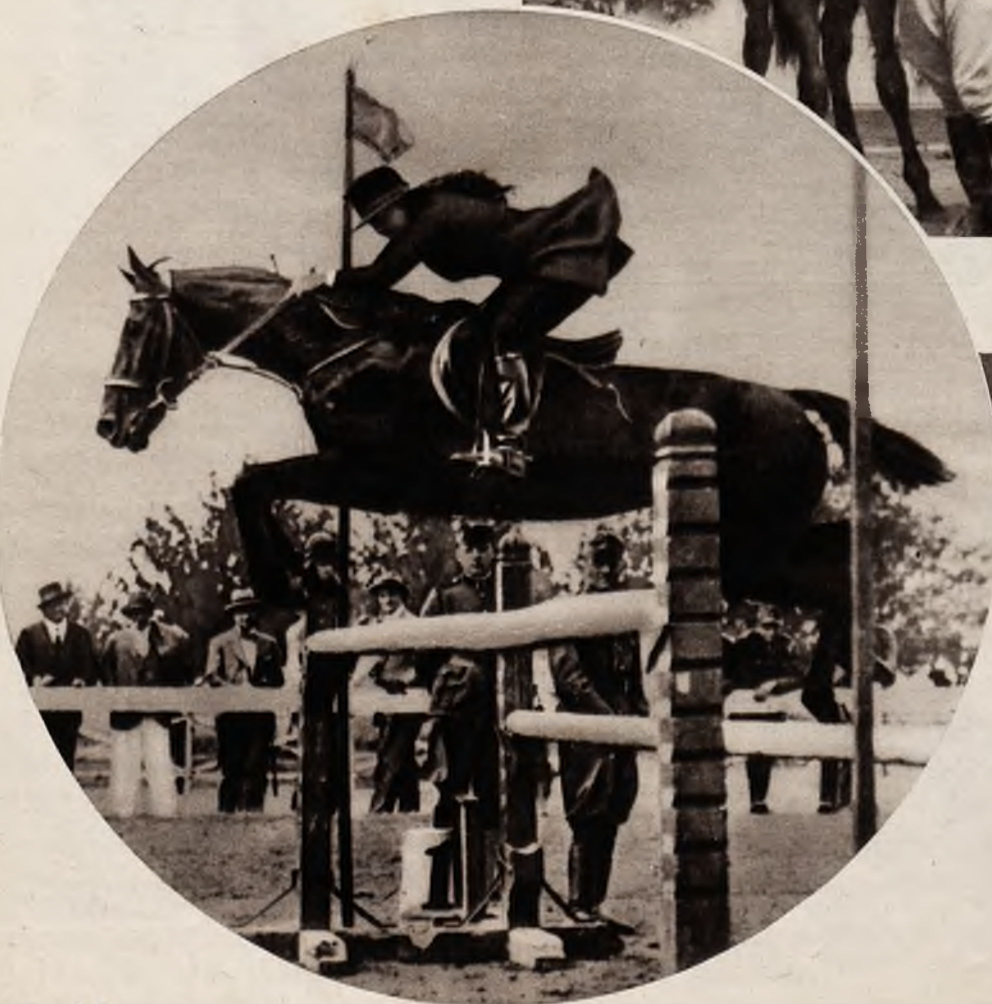
Liczni we Lwowie zwolennicy konkursów hippicznych ze zdziwieniem, a zarazem z żalem zauważyli, w czasie odbytego ostatnio konkursu wiosennego, nieobecność na torze p. Wandy Krzeczunowiczowej, jednej z najlepszych amazonek w sporcie polskim. Należy zauważyć, że p. Krzeczunowiczowa ma również chlubnie zapisaną kartę sportową pod panieńskiem nazwiskiem — Czaykowska, już w tym czasie bowiem odnosiła uwagi godne sukcesy w kraju i zagranicą. Na podkreślenie w szczególności zasługują dwa pierwsze miejsca, zajęte w r. 1929 w Budapeszcie, trzy pierwsze miejsca w silnej konkurencji międzynarodowej w Warszawie (1930), kilka pierwszych miejsc na konkursach w Poznaniu, Lwowie, Łucku, Niemirowie, Lublinie i t. d.

Jednak nietylko zwycięskie wyniki zwracały ogólnie uwagę na p. Czaykowską-Krzeczunowiczową. W daleko większym stopniu przyczyniała się do tego wspaniała jej sylwetka na koniu, oraz nieprzeciętna odwaga i brawura, dzięki której zaliczoną została do elity jeździeckiej w Polsce. Na specjalne podkreślenie zasługuje udział p. Czaykowskiej-Krzeczunowiczowej w silnie obsadzonych konkursach panów, w których stale prawie zajmowała punktowane miejsca.

Od kilku lat p. Krzeczunowiczowa przebywa w majątku, w Jaworyczowie Nowym; do Lwowa zaś przybywa tylko parę razy do roku. Z tej przyczyny trudno zorjentować się, dlaczego nie startowała w sezonie wiosennym. Z przypadkowo nawiązanej rozmowy okazuje się jednak — niezawodnie ku wielkiemu zadowoleniu licznych zwolenników talentu jeździeckiego tej odważnej amazonki, — że nie wycofała się ona z areny sportu jeździeckiego i już w najbliższej przyszłości spowrotem ukaże się na torze. W międzyczasie p. Kreczunowiczowa nie zaniedbuje ulubionego swego sportu, jak i hodowli koni pełnej krwi, którym przypisuje główną zasługę uzyskiwanych wyników.

Pewną miarą sukcesów, odniesionych przez p. Czaykowską - Krzeczunowiczową w sporcie hippicznym, jest cenna kolekcja zdobytych w ciągu lat nagród honorowych, a wśród nich najpiękniejsze, przywiezione w swoim czasie z Budapesztu. Wymowny zaś dowód fachowej oceny wysokiej klasy jeździeckiej, reprezentowanej przez p. Krzeczunowiczową, stanowi wielka złota odznaka jeździecka, przyznana jej w r. 1936 przez Polski Związek Jeździecki, jako jedynej kobiecie w Polsce.


P. Wanda Czaykowska - Krzeczunowiczowa ze swą ulubioną klaczą pełnej krwi „Alse", hodowli p. Ostoja-Ostaszewskiej z Klimkówki. Fot. „As".


W kole: P. Krzeczunowiczowa na przeszkodzie w czasie międzynarodowych konkursów hippicznych w Budapeszcie (1929), na których zdobyła dwie pierwsze nagrody.

Uprawiając sport konny od lat najmłodszych (już jako mała dziewczynka z powodzeniem uczestniczyła w konkursach hippicznych), p. Krzeczunowiczowa, jeżeli chodzi o swoją osobę, poczyniła w nim jaknajlepsze doświadczenia. Utrzymanie się w pełnej formie i stylu przez długie lata jest tego dostatecznym dowodem.

F. K. (Lwów).

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER“ S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 22 Niedziela 31 maja 1936 Rok II

ASY NUMERU 22-GO:

Fot. „AS“.

Na czoło wszelkich broni współczesnych armji wysuwają się dwie nadwyraz groźne i coraz bardziej udoskonalane: lotnictwo i broń gazowa. Jak wykazała ostatnia wojna abisyńska, wystarczają one całkowicie, aby zniszczyć wroga nieposiadającego zorganizowanej obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej. Jak Europa szeroka i długa, odbywają się ostatnio z coraz większym też naciskiem ćwiczenia, mające obeznać ludność cywilną z walką przeciwko samolotom i gazom trującym. Ostatnio Kolejowy Okręg L. O. P. P. Kraków zorganizował przy poparciu Ministerstwa Komunikacji oraz Zarządu Głównego L. O. P. P. obóz dla drużyn odkażających w Węgierskiej Górce. Zdjęcie nasze przedstawia moment ćwiczeń kolejarzy, zaopatrzonych w odpowiednie stroje i maski gazowe.

ŁOWICZ

1136—1936

Łowicz — dawna rezydencja prymasów Polski, później stolica księstwa stworzonego dla morganatycznej małżonki w. ks. Konstantego, Joanny z Grudzińskich, obchodzi w bieżącym roku 800-lecie swego istnienia. Zarówno przeszłość tej ziemi, jak i wysoce oryginalne cechy jej sztuki ludowej skupiają na niej zainteresowanie całej Polski. — W ramach uroczystości łowickich znalazły się wystawy „Łowicz współczesny", „Przemysł i zdobnictwo ludowe", wystawa dzieł Józefa Chełmońskiego, liczne wycieczki w okolicę, jak do Arkadji, Nieborowa itd. a pozatem odbędą się widowiska regjonalne, jak inscenizacja pieśni łowickich, zabawy ludowe i inne.

Obchód 800-lecia Łowicza rozpoczęty dnia 24 maja trwać będzie do 7 lipca, zaznajamiając nasze społeczeństwo z przeszłością tej pięknej ziemi, jej sztuką i krajobrazem. W poniższym artykule Czytelnik znajdzie niejeden ciekawy szczegół, odnoszący się do ziemi, zamieszkałej przez „księżaków".

Red.



Procesja Bożego Ciała w Łowiczu zdąża do historycznej kollegjaty.



Wycinanka łowicka.

Dzisiejszy Łowicz budzi zainteresowanie głównie dzięki barwnym ubiorom swego ludu, charakterystycznym wycinankom ludowym i ceramicznym wyrobom, produkowanym w Bolimowie, oddalonym o 16 km od Łowicza.

Stroje łowickie noszą na sobie znamię tych czasów jeszcze, gdy Łowicz pozostawał pod władzą prymasów, wywierających również na stronę duchową i wyrobienie społeczne księżaków nieprzemijający wpływ. Pomarańczowy kolor wełniaków, związany jest swem pochodzeniem z barwami gwardji szwajcarskiej, które prymasi przeszczepili z Watykanu na grunt swego „Państwa kościelnego". Oprócz szerokich pasiastych spodni, wpuszczonych w cholewy butów, nosi księżak „katankę", lub kamizelkę w kolorze czarnym z mosiężnemi guzikami, przepasaną barwnym pasem. Od święta, szczególniej w uroczysta procesję Bożego Ciała, przywdziewają niektórzy starodawne jasne sukmany. Księżaczki lubują się w szerokich pasiastych spódniczkach i wełnianych „zapaskach", pończochy naszywają paciorkami, lub ręcznie haftują, a czarne buciki sznurują kolorowemi tasiemkami. Pięknem uzupełnieniem jest atłasowy staniczek, obciśnięty na piersiach, na który spływają z szyi liczne sznury korali i bursztynow. — Z pod stanika wysuwają się śnieżnej białości, haftowane we wzory geometryczno-kwiatowe, szerokie rękawy koszuli. Głowa opasana wzorzystą chustką jedwabną, lub wełnianą. — Najpiękniej wy-

Poniżej: Typy dziewcząt łowickich.

Wnętrze łowickiego domu.

gląda strój panny młodej, który stanowi istną malowankę. Główną ozdobą jest w nim przybranie głowy, stanowiące rodzaj wieńca z kilkoma kwietnemi rózgami, pełnemi świecideł. Od wieńca opada na warkocze i plecy pęk wzorzystych wstążek. Zimową porą otulają się kobiety w wełniane ciepłe chusty, lub fartuchy z wełniaka, narzucane na plecy.

Tak, jak w stroju, zachowali księżacy cudowny umiar skali kolorystycznej i we wzorach wycinankowych. Ażurowe, o charakterze czysto dekoracyjnym, wycinane są nożycami od strzyżenia owiec z wielokrotnie złożonego papieru kolorowego. Tworzą je kobiety księżaczki, a najpiękniejsze pomysły daje J. Strycharska.

Tyle o Łowiczu dzisiejszym „na pierwszy rzut oka". Przy bliższem jednak zainteresowaniu się miastem poznamy zabytki i bogatą przeszłość książęcego grodu, — poznamy Łowicz dawniejszy.

Okres jego dziejów, sięgający wgłąb średniowiecza, jest trudny do odtworzenia ze względu na zaginięcie wielu archiwalnych źródeł. Pod swą nazwą występuje Łowicz po raz pierwszy w roku 1136, w bulli papieskiej, która potwierdza uposażenie arcybiskupstwa gnieźnieńskiego w to miasto. Ta pierwsza wzmianka o Łowiczu jest też niejako początkiem historji jego. W bieżącym miesiącu obchodzi miasto w ten sposób uroczystość 800-letniej rocznicy tej historycznej daty.

We wspomnianym wyżej 1136 r. był Łowicz wsią, zaś w roku 1298, według danych źródłowych, posiada już godność miasta. W tym też czasie założony został czworokątny Stary Rynek (obecnie Rynek Kościuszki), którego okolicę w początkach wieku 15 nazywano Starem Miastem, a powstały w tym czasie drugi rynek trójkątny (obecnie Rynek Kilińskiego), z otaczającemi go ulicami, otrzymał nazwę Nowego Miasta.

Już w połowie 15 wieku handlowa i rzemieślnicza ludność miasta zorganizowała się w liczne cechy, a łowickie jarmarki miały swoją ustaloną świetną opinję. Miasto poczyna rozwijać się na dobre za Kazimierza Wielkiego, do szczytu jednak znaczenia dochodzi dopiero w wieku 16.

Jakkolwiek Łowicz nie był nigdy warownią, posiadał bramy miejskie, które spełniały jedynie rolę policyjną. Charakter warowny posiadał natomiast w 14 i 15 w. nieistniejący już dziś zamek prymasów, który od w. 16 nabrał cech wielkopańskiej rezydencji. Aż do poł. 16 wieku budowano w Łowiczu jedynie drewniane domy mieszkalne, które też płonęły bardzo często. Ozdobą miasta był zamek prymasów i liczne kościoły, których w 17 wieku miało być 12, liczba, jak na niewielkie miasto, imponująca.

Chlubą miasta była i jest obecnie kolegjata, zajmująca znaczną przestrzeń dzisiejszego Rynku Kościuszki. Zbudowana około 1100 roku jako drewniana, zastąpiona została w poł. 15 w. murowaną. Dzisiejszy jej charakter jest barokowy, założenie jednak, a szczególniej wysokość nawy głównej ma w sobie tradycje gotyckie. Dwie wieże, uwieńczone pięknemi barokowemi hełmami, tworzą wraz z bryłą głównego korpusu prawdziwie monumentalną grupę. — Dobudowane różnemi czasy kaplice, cechuje duże bogactwo stylów. Wśród nich najpiękniejszemi są: rokokowa kaplica arcyb. Komorowskiego z wspaniałym nagrobkiem marmurowym fundatora, renesansowa dawniej, obecnie wczesnoklasycystyczna (z 18 wieku) kaplica patronki miasta — św. Wiktorji oraz późnorenesansowa kaplica Tarnowskich z nagrobkiem Piotra Tarnowskiego w tymże stylu. Wysokiej skali artystycznej jest renesansowy grobowiec prymasa J. Uchańskiego, będący wybitnem dziełem Jana Michałowicza z Urzędowa, wznoszący się po prawej stronie u wejścia do kaplicy św. Wiktorji.



Dziewczęta łowickie w kościele.



Na lewo: Księżak z swoim koniem przy studni.



Poniżej: Grupa Łowiczanek w charakterystycznych strojach.

Przy tymże Rynku wznosi się kościół pojarski. Utrzymany w pięknym barokowym stylu, o fasadzie zwróconej do rynku, posiada środkową partję utrzymaną w bogatych linjach falistych. Daje to duży efekt w zestawieniu z płaskościennemi wieżami, być może w drodze późniejszej nadbudowy uzyskanemi.

Vis-à-vis Kolegjaty wznosi się gmach pomisjonarski z 1689 r. z wewnętrzną, dawniej klasztorną, kaplicą. Specjalną w niej uwagę zwraca dekoracja architektoniczna oraz wysokiej klasy malowidła al fresco, których twórcą jest znakomity Włoch Michał Anioł Palloni (z czasów kr. Jana III).

Są to najcenniejsze zabytki kościelnej architektury starego Łowicza.

Architektura świecka zachowała się dopiero z doby baroku w postaci kamieniczek, z których specjalną uwagę zwracają znajdujące się przy Nowym Rynku i posiadające piękne w linjach, osiemnastowieczne szczyty.

Z lat nam bliższych mianowicie z początku XIX. w., związanego z empirem, pochodzą m. in.: gmach poczty, kościół ewang.-augsburski i budynek magistratu, wyróżniający się swym frontem, dekorowanym pod okiennym fryzem, o różnych motywach zdobniczych.

Przyjechawszy do Łowicza w dzień powszedni, nie odbierzemy tego pełnego wrażenia, jakie daje dopiero dzień świąteczny, który nadaje Łowiczowi właściwy mu rumieniec życia, barwiąc go istną gamą kolorów stroju ludu, ściągającego do kościołów. Zwłaszcza procesja Bożego Ciała urosła pod tym względem do symbolu wysoce artystycznego. Podziwiają ją też corocznie wycieczki z kraju i zagranicy.

Michał Szymański.



Konkurs na najpiękniejszą wystawę stołową.

Powyżej: P. Prezydentowa Mościcka otwiera konkurs na najpiękniejszą zastawę stołową.

Pierwszy to tego rodzaju konkurs w Polsce, a napewno jeden z bardzo nielicznych w Europie. Pomysł pani ministrowej Jadwigi Beckowej uznać więc należy za niemzmiernie oryginalny. Do rywalizacji zaproszono przedstawicieli państw zagranicznych w Warszawie, którzy reprezentują przecież nietylko rząd i interesy polityczne swego kraju, ale i jego kulturę.

Dyplomaci, oddaleni od kraju rodzinnego, co kilka lat przenoszeni z miejsca na miejsca, wytwarzają zupełnie odrębny, specjalny styl. Wyraża się on zarówno w sposobie ubierania, jak i w zwyczajach towarzyskich, oraz w urządzaniu wnętrza mieszkań. Znany jest wszędzie ten międzynarodowo-dyplomatyczny styl. Po wojnie, zwłaszcza w ostanich latach, ujawniły się dość silnie tendencje propagandy folkloru zarówno wśród swoich, jak i obcych. Znajduje to także wyraz w życiu poselstw zagranicznych, które starają się reprezentować możliwie jaknajbardziej korzystnie sztukę swego kraju. Ale, trzeba to powiedzieć zupełnie otwarcie, chęć propagandy folkloru nie ujawniła się dostatecznie na omawianej przez nas wystawie. Wszędzie wyczuwa się ów osławiony międzynarodowy styl, tak jak w pierwszorzędnych restauracjach całego świata spotyka się zawsze te same potrawy z „francuskiej kuchni".

Wyjątek w tym względzie najbardziej idealny stanowi stół chiński; nic słuszniejszego więc, że on zdobył jedną z dwuch pierwszych nagród.

Wykonany z hebanu i laki, ustawiony na oryginalnych, barwnych pekińskich dywanach żywo kontrastuje z otoczeniem. Ścianę zaimprowizowanego fragmentu jadalni zdobi piękna i drogocenna nankińska makata. Cała porcelanowa zastawa stołowa z białej chińskiej porcelany w niebieskie kwiatki pochodzi z przed 200 laty, z epoki dynastji Tsing. Każde nakrycie na pięknej, subtelnej roboty, koronkowej serwetce z Szanghaju, opatrzone jest niewielką tabliczką z przeźroczystego żółtego kamienia, na której chińskim alfabetem wypisane jest nazwisko gościa. Litery dają się zetrzeć, tak, że tabliczka zastępująca europejskie bileciki i może służyć na wiele razy. Obok talerza dwie pałeczki z kości słoniowej: umiejętność posługiwania się niemi jest prawdziwą sztuką.

Europejskiemu biesiadnikowi, zaproszonemu do chińskiego stołu, trudno jest się zorjentować w przeznaczeniu rozmaitych naczyń o niezwykłych kształtach. W małych porcelanowych naczyńkach np. ukrywają się pod pokrywką szklane kieliszki do mocnej, chińskiej wódki. Kieliszki są podobne do naszych, tylko że nie mają podstawi. Nie przypominające za to w niczem zastawy europejskiej większe i mniejsze wazy i naczynia, to jakby nasze stare cukiernice, czy może maszynki do kawy, osobne dla każdego z biesiadników, służą do mięsa i jarzyn. Pośrodku tego w stu procentach chińskiego stołu, ułożono na głębokim talerzu piękne fjołki. Co do nich jedynie jesteśmy pewni, że pochodzą z naszego kraju.

Jakże odmienny jest stół szwedzki, również wyróżniony pierwszą nagrodą. Zarówno stół, jak i całe jego nakrycie sprowadzone zostało z Sztokholmu. Kombinacja machoniu ze złotem nadaje mu bardzo ciepłe tony. Środek stołu zdobią storczyki, bratki, ananasy i winogrona stwarzając barwną plamę. Nakrycia ustawiono na dwuch wąskich laufrach z pięknego płótna w kolorze starego złota. Również złote są ozdoby porcelanowych talerzy. Na obu końcach stołu i po środku stoi sześć wysokich, białych świec stearynowych w niskich porcelanowych, białozłotych podstawkach. Nad stołem wisi na ścianie szwedzki pejzaż morski pendzla znanego malarza, Bruno Lilieforsa. Zasługę pięknej, wysokiej klasy dekoracji szwedzkiego stołu dzielą panie: Boheman, małżonka posła oraz Astrid Sampe.

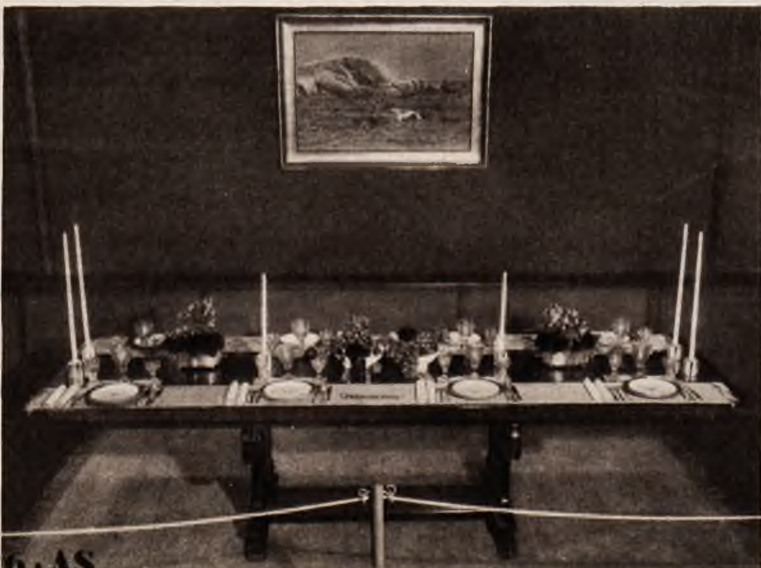
Trzymajmy się kolejności nagród. Nagrody drugie przyznano: Niemcom, Austrji, Finlandji i Francji.

Stół niemiecki, w białym utrzymany tonie, jest prosty i skromny. Zastawę rozłożoną na śnieżnym, jedwabnym obrusie tworzy porcelana, srebro i szkło wzbogacona dekoracją z storczyków.

Jedyny okrągły stół na wystawie, to stół Austrji. Utrzymany całkowicie w białych barwach; biały jest jedwabny obrus, białe talerze, białe lilje i narcyzy w dużym srebrnym wazonie, białe świece w srebrnych lichtarzach i białe porcelanowe figurki. Stół o stylu wybitnie przedwojennym, owiany jest melodją wiedeńskiego walca (jeżeli tak to można określić). Odpowiadałby najlepiej weselnemu przyjęciu z pierwszych dziesięciu lat panowania Franciszka Józefa.

Odrębny charakter nadają finlandzkiemu

Stół szwedzki, który otrzymał pierwszą nagrodę.

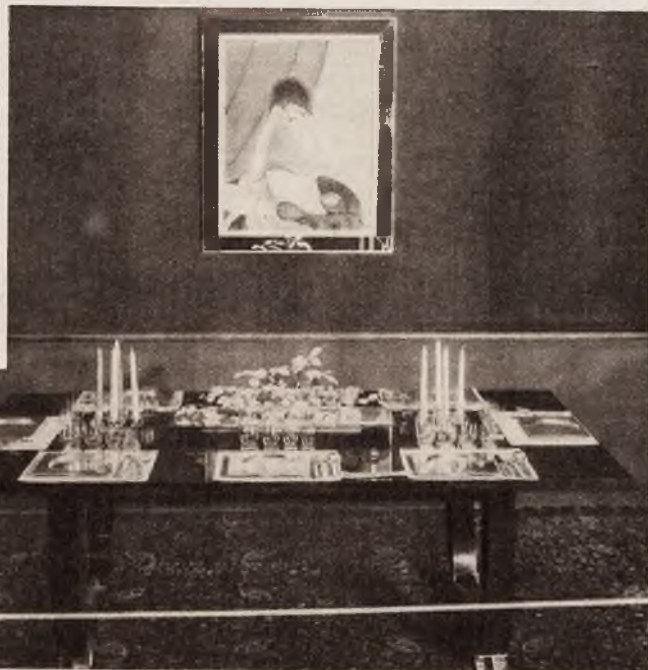


Zastawa polskiego stołu myśliwskiego, dekoracji p. J. Prażmowskiej





Stół chiński (pierwsza nagroda) odznacza się przedewszystkiem bogactwem i doborem porcelany.



Na prawo: Stół francuski, o prostych i skromnych motywach dekoracyjnych.

stołowi karbowane fantazyjne serwetki. Mimo wysokiej klasy dekoracji kwiatowej stół ten robi jednak wrażenie pretensjonalne. Najpiękniejszy ornament tej „jadalni" stanowi stary dywan finlandzki.

W bliskiem sąsiedztwie stołu austrjackiego stoi stół francuski. Dwa światy, dwie epoki: walc wiedeński i „Continental". Stół francuski jest ostatnim wyrazem nowoczesności: kombinacja szkła i metalu. Szklane są puharki do wina i wody, szklane lichtarze, w których osadzono różowego koloru świece. Sztuczne, srebrne kwiaty znalazły się pośrodku stołu na podłużnym, wielkim talerzu. Kwadratowe, złocone talerze, obok złoconych łyżek, widelców i noży o kształtach krótkich i szerokich, ułożono na koronkowych serwetkach. Obok na ścianie modernistyczne studjum portretowe w lustrzanej ramie. Ultranowoczesny stół jest zimny i martwy; bynajmniej nie zachęca do śniadania.

Jury konkursu wyróżniło jeszcze sześć państw z Belgją i Holandją na czele, przyznając im odznaczenia honorowe.

Poza konkursem wystawiono trzy polskie stoły, z których najprzyjemniejszy jest niewątpliwie stół nakryty podolskiemi serwetkami, ludową ceramiką i starem, grubem szkłem polskim do prostego myśliwskiego śniadania. Dekoracje wykonała p. Jadwiga Prażmowska. Bardzo bogaty i wspaniały jest stół Heleny hr. Potockiej, nakryty obrusem z cyframi Augusta II i herbem polskim. Zachwyca tu belwederska porcelana, szkło urzeckie, stare srebra i sztućce z Korca; wszystko z XVIII wieku. Imponująca przepychem zastawa razi jednak dzisiaj, kiedy prostota decyduje o dobrym smaku. Prócz dość złożonego i różnorodnego pod względem doboru nakrycia i zastawy stołu norweskiego i utrzymanego w starym stylu stołu węgierskiego, dwa przeciwległe kąty sali zajęły Argentyna i Bułgarja, wypełniając je charakterystycznemi ozdobami ściennemi i oryginalną zastawą małych, niskich stolików.

Wystawa dekoracji stołów w salonach Instytutu Propagandy Sztuki (Ips), obudziła wielkie zainteresowanie w sferach kulturalnych Warszawy. Od dnia otwarcia tłumy zwiedzających wypełniają wszystkie przejścia. Przy kasie formują się ogonki.

Wśród publiczności, tak licznie odwiedzającej wystawę, powinny znaleźć się nietylko panie domu, ale i kierownicy naszych hoteli, restauracyj i pensjonatów. Cel wystawy byłby spełniony, a wysiłek i koszt jej organizacji stokrotnie wynagrodzony, gdyby udało się wzbudzić większą dbałość o sposób podawania do stołu zarówno w domach prywatnych, jak i w lokalach publicznych, a dekorację warszawskich wnętrz zbliżyć do pięknych wzorów starej, zachodniej kultury. *Em.*

Wszystkie zdjecia fot. „AS"

Poniżej: Stół belgijski, wyróżniający się pięknem nakryciem z koronkowej tkaniny.





Artystka-malarka, Irena Pokrzywnicka.
Fot. St. Brzozowski — Warszawa.

NASZA NOWA ANKIETA

KOGO NAZYWAM 100% mężczyzną?

VI. Artystka-malarka: Irena Pokrzywnicka

Irena Pokrzywnicka jest artystką malarką, portrecistką, oraz znaną dekoratorką wnętrz. Jej portrety i studja noszą cechy wykwintu kobiecego i subtelności, cykl jej obrazów pod tytułem „Cztery Pory Roku", malowany dla jednego z naszych pałaców arystokratycznych, znany jest z wielu reprodukcyj.

Z charakterystyczną dla artystki malarki swobodą prowadzi p. Pokrzywnicka rozmowę na temat naszej nowej ankiety. Pytania i odpowiedzi padają szybko i zdecydowanie.

— Co pani myśli wogóle o mężczyznach? — zapytuję artystkę.

— Nic nie myślę...

— Ale o stuprocentowym mężczyźnie, o prawdziwym ideale kobiety?

— Nie spotkałam takiego. Dotąd znam mężczyzn zaledwie siedmioprocentowych, a więc o procencie niższym nawet od przeciętnego alkoholu — mówi p. Pokrzywnicka, śmiejąc się przekornie.

— Ale — jak pani sobie takiego „stuprocentowca" wyobraża?

— Och! Wyobrażenia! Wyobrazić sobie można co dusza zapragnie. Imaginacja moja na ten temat jest... nierealna! Od stuprocentowego mężczyzny wymagam przedewszystkiem, żeby miał charakter, odwagę, wolę, ambicję, poczucie odpowiedzialności. Poprostu moralny żelazo-beton.

— Czyż o takiego jest naprawdę tak trudno? — pytam dalej.

— Najtrudniej. Znam życie wielu kobiet i widzę, że właśnie brak tego typu mężczyzny jest powodem ich samotności...

— Czy zna pani mężczyznę, powiedzmy aktora filmowego, lub znanego światowca, który w stosunku do pani wymagań, najbardziejby jej odpowiadał?



Ekspedjentka Halina Śmietankówna podczas swych codziennych zajęć.
Fot. „As".

— znam go zaledwie z fotografji, wywiadów dziennikarskich i legend, jakie o nim krążą. Przecież nawet w Paryżu pokazywano go raz jako okaz nadzwyczajnej siły. Osobiście go nie znam i za nic w świecie poznać nie chcę.

— Czy boi się pani... zbyt silnego wrażenia?

— Nie, nie wrażenia. Boję się... rozczarowania.

— Jako typ, bardzo podoba mi się... marynarz naszej marynarki wojennej Radwan z O. R. P. „Podhalanin", ten, który przegryza gwoździe i łamie podkowy. Jest on dobrym żołnierzem, jest silny, zdrowy, pogodny i bezkompromisowy. Szczątkowy okaz prawdziwego mężczyzny.

Zdziwiony niespodziewaną odpowiedzią malarki zapytuję dalej:

— Czy... tego stuprocentowego wilka morskiego... zna pani osobiście?

Artystka skupia na dłuższą chwilę uwagę. Wreszcie odpowiada:

— Nic podobnego! — śmieje się pani Irena —

VII. Ekspedjentka: Halina Śmietankówna.

„Pokaż mi, jakie nosisz krawaty — a powiem ci, kim jesteś" — oto dewiza, jakiej się trzyma panna Halina Śmietankówna, pracująca od czternastu lat jako ekspedjentka w najpopularniejszej warszawskiej firmie mód męskich. Istotnie, czternaście lat obserwacyj, to tysiące klijentów, to miljony krawatów i wszelkich innych drobnostek z zakresu męskiej mody; to wreszcie miljardy kaprysów, znoszonych cierpliwie od gentlemanów, dobierających krawat do marynarki, a spinkę do krawata. Nie należy bowiem sądzić, iż tylko kobiety potrafią stracić u modniarki całe popołudnie na wybór jednego kapelusza. Spróbójcie porozmawiać z ekspedjentką z działu mód męskich!

— Najgorszy jest typ—opowiada panna Halina — takiego mężczyzny, który przychodzi do sklepu, po kupno nowego kapelusza z „doradcą", a jeszcze gorzej z „doradczyniami". Z żoną, teściową, córką, mamą i dwiema koleżankami żony. Gdy taki klijent zdecyduje się nareszcie na kapelusz popielaty, wówczas doradczyniom zachciewa się zielonego. Gdy on, w drodze kompromisu przystanie na popielato-zielonkawy, wówczas towarzyszącym paniom podoba się właśnie. ciemno-popielaty. Ponieważ tego rodzaju typ mężczyzny nie posiada dostatecznej siły woli — ulega doradczyniom i w rezultacie kupuje to, czego nie chciał, i w czem mu częstokroć bardzo nie do twarzy.

— Istnieje też typ mężczyzny próżnego — opowiada dalej moja rozmówczyni. — Takiego poznaję na pierwszy rzut oka. Wystarczy, jeśli usłyszę, czego żąda i jak wybiera. Powiedzmy, że chodzi o krawat. Próżny mężczyzna każe sobie pokazać pięćdziesiąt krawatów od tanich do najdroższych. Nie wie dokładnie, co właściwie chce kupić. To jedno pewne, że chce kupić coś, czem by się wyróżniał, co niby byłoby „oryginalne". W rezultacie taki pan kupuje nieraz krawat tak brzydki, iż z trudnością wogóle sprzedałabym go innemu klijentowi.

— A jakże, zdaniem pani, zachowuje się w takich okolicznościach mężczyzna stuprocentowy? Czy pani wogóle jest przekonana, że taki 100-procentowy mężczyzna istnieje?

— Ależ naturalnie! — słyszę odpowiedź — stuprocentowi mężczyźni istnieją i nawet znam takich. A jak zachowuje się taki mężczyzna w sklepie? To bardzo proste. Przedewszystkiem przychodzi po krawat, po koszulę, czy po piżamę sam, bez doradczyń. Jest zdecydowany. Wie poprostu, czego chce i ma własny, oczywiście wykwintny gust.

— Mówiła pani, iż zna pani osobiście takich mężczyzn „idealnych". Niechże mi pani wskaże któregoś z nich!

Panna Halina nachyla się lekko ku mnie i mówi szeptem:

— Tam stoi w drugim pokoju... mój szef.

— Pani szef? — A który, przecież tam stoi dwóch panów...

Rozmówczyni patrzy na mnie z wyrzutem...

...Zrozumiałem. Aby być stuprocentowcem, nie wystarczy... sam tylko krawat! **Romit.**

KRÓL I WINIAREczka

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

N O W E L A

Na Starem Mieście świeciła mrocznie wieczorami latarnia, w żelazne ujęta dziwolągi. Różowo-żółte światło wyszukiwało jaśniejsze miejsca w załomach starego domu. Gdy wiatr lekko trącał wiszącą latarnię, wtedy ze wszystkich najbliższych zakamarków wyłaniały się chude cienie i słaniając się, kryły się prędko za szkarpy.

Czasem przez kraty okienka zaglądała blada twarzyczka, wyzierając na rynek, po którym, stukając, przechodziły zrzadka ciemne postacie.

Zaraz też znikał przebłyskujący owal twarzy. Niewiadomo było, czy żywa to istota, czy jeden z cieni staromiejskich?

Co jakiś czas pod latarnią uwydatniała się postać męska, nierzadko brzęknęła jakaś szpada... Postać znikała w sklepowej bramie.

Potem po schodach kamiennych nadół.... i uchylały się drzwi do piwnicy.

Tutaj pod wielkiemi łukami sklepień nagle gwar dawał się słyszeć i śmiechy. Goście rozsiedli się wygodnie, na stołach kubki z winem, kufle porcelanowe i wysokie dzbany. Światła dosyć, ale nie za wiele, aby zabawie nie odbierać intymnego uroku, aby zbyt płoche krotochwile nie ukazywały się za bardzo jaskrawie. I młodym dziewczętom nie potrzeba się już tak żywo oblewać rumieńcem, jeśli tego dokładnie nie widać.

Winiarz Duval wypełnia co nocy sakiewkę, a z pękatych beczek, przypartych do muru, ciekną prawie bez przestanku wina smakowite i spływają w podstawione dzbany. Twarze młodzieży warszawskiej, szlacheckiej i mieszczańskiej, wojskowych i wesołych studentów promienieją, oczy błyszczą. Wiele różnych tu osób teraz przychodzi, od kąd córeczka grubaśnego Duvala pewnego dnia ukończyła szesnaście latek.

W ściśliwym staniczku to już nie dziecko, lecz ponętne dziewczątko. Liczko jej wdzięk ma niewysłowiony, oczka trochę melancholji, trochę pustoty i trochę sentymentu. Młoda winiareczka, Henrjetka, zwabia co wieczór piosenkami mnogo gości.

Śpiewa, a potem słucha, jak młodzieńcy szepcą jej do uszka namowy lubościwe, gdy się któremu uda ją ku sobie przyciągnąć.

Ale ona prędko odbiega i tylko dźwięczy jej czysty śmiech wśród brzęczących szklanic.

Henrjetka nie jest marzycielką. Jednak czeka na coś, może na jakąś extraordynaryjność? Bo któż jeszcze przed rokiem do niej się zalecał? W dzień czeladnicy szewscy, a wieczorami, w winiarni, astmatyczny imć Bonawentura, powroźnik z Dunaju Wąskiego i przetłuszczony imć Barabasz, właściciel sklepu korzennego. Teraz już co innego. Kadeci i panowie oficerowie królewscy, dworzanie, zagranicznicy, których mnóstwo się po Warszawie włóczy, wszyscy ściągają do winiarni, zwiedziawszy się o uroczej winiareczce. Ojciec bardzo rad jest, bo fortunka coraz to się powiększa.

— Ależ to oporna dzieweczka — powtarzają goście.

Każdy jednak omamiony jest urodziwem stworzeniem.

Przypadła wszystkim do smaku, jej jednak nie przypadł jeszcze żaden.

A wieść o pięknej winiareczce na Starem Mieście doszła aż do uszu królewskich.

— Ejże, aż taka miła? — dziwił się król i z zaufanymi dworzaninami układał potajemną wycieczkę.

Postanowił wybrać się incognito do piwnic Duvala, przypatrzyć się Henrjetce, przysłuchać się jej śpiewowi.

Jednej nocy w przebraniu wykradł się z zamku wraz z oddanym ministrem.

Dwóch jegomościów przemykało się Świętojańską, wsuniętą w ciemności: szli jakby spiskowcy.

Cicho było na Starem Mieście, chyba godła z nad kamieniczek poszeptywały ze sobą w mowie nieludzkiej. Anibyś zgadł, że w podziemiu jednego z domów wre uciecha i przy rozśpiewanej dziewczynie serca młodzieży ściskają się niezaspokojoną ochotą.

— Ciekawym, czy i mnie odepchnie jak innych? — myślał król.

Gdy stanęli już w sionce, pod migocącym kagankiem, minister, czytający w myślach królewskich, nachylił mu się do dostojnego ucha:

— Królowi by się nie oparła, ale że się go pod temi szatami nie domyśli, przebaczcie płochej dziewczyninie, jeśli zaczepki nieznajomego odtrąci.

Gdy tylko stanęli w piwnicy, u góry schodków, wiodących do wnętrza, dała się widzieć wśród przepełnionej sali różowa postać, której szczuplutka kibić, cienka w pasie upodabniała ją do pszczółki, unoszącej miód.

Przypatrując się temu kształtnemu obrazowi. schodzili dwaj nieznajomi do winiarni, mając się ku kątowi jakiemu, skąd widok byłby dogodny. Zaraz sam gospodarz ku nim podszedł, widząc zamożnych imościów, których ubiór pozwalał się domyślać kupców saskich.

Sam dopilnował, aby gościom usłużono.

Król nie spuszczał oka z Henrjetki.

— Dzięwczę niczego — rzekł na początek.

Henrjetka przekomarzała się z młodym oficerem, który ją za wstążkę przytrzymywał i zaklinał się, że nie puści. Lecz naraz dziewczyna czmychnąwszy mu, odbiegła na drugą stronę i wyciągnęła trel piosenki.

Uciszyło się, a ona jedną zwrotkę prześpiewawszy, zakończyła ją śmiechem, jakgdyby rozsypała perełki z naszyjnika.

Król nachylił się do ministra.

— Urocza — rzekł.

Przebiegła obok, więc zawołał ku niej.

— Pójdź-no tu, dziewczątko.

— A czego? — zapytała, obrzuciwszy nieznajomego hardem spojrzeniem. Zbliżyła się jednak i stanęła za stołem.

— Podobno na imię jest ci Henrjetka?

— Tak. Czy to chcieliście mi powiedzieć, łaskawy panie?

— Chciałem ci rzec coś ważnego.

— Ciekawam — powiedziała Henrjetka i dłoń przyłożyła do ucha.

— Chciałem ci powiedzieć, żeś mi bardzo przypadła do gustu.

Henrjetka parsknęła śmiechem.

— Dalibóg, nie usłyszałam niczego nowego.

— Ja też nie obiecywałem ci żadnej nowiny, tylko ważną wiadomość.

— Cóż w tem ważnego?

— Jeśli takie stworzenie komu się podoba, powinno się z tego cieszyć, a nie wykłócać się.

— Ja też się od roku nietylko cieszę!

— O, bestyjko, bardzoś dufna w siebie. Uważaj, żebyś się na kim nie sparzyła.

— O wa! Czy wy, panie, może tacy gorący jesteście?

Nie czekając już odpowiedzi, pomknęła ku podwyższeniu, gdzie stanąwszy, ujęła w palce spodniczkę i pofalowawszy nią w kilku ruchach tanecznych, zaczęła śpiewać.

— Jakaż jest? — zapytał minister króla, ale ten już nie wiedział, co do niego mówią.

Natomiast pieśniarka, ukończywszy piosenkę i dziękując za huczne oklaski, spojrzała ukradkiem w stronę nieznajomego. Potem znikła w framudze, skąd drzwiami dostała się do pokoiku.

— Widzisz, zniknęła... — niepokoił się August Mocny. — Co to za przekorna dziewczyna! Poszedłbym tam za nią, ale mi ojciec gotów powiedzieć: „tu jest winiarnia, a tam jeno moje izby mieszkalne".

— Tak, najjaśniejszy panie — mruczał minister — ojciec córki strzeże, bo tu dużo chętnych!

— Żeby tylko ustrzegł — powiedział August tak serjo, że minister spopjrzał bacznie.

Niepotrzebnie martwił się August, bo po jakimś czasie Henrjetka ukazała się znowu, jeszcze urodziwsza, snać jakiemiś sztukami niewieściemi podkreśliwszy swą ładność.

Pokręciła się chwilkę wśród gości i nieznacznie zbliżyła się w stronę, gdzie siedzieli dwaj nieznajomi. Czekała, aż ją zawezwie ów zaczepliwy, lecz August ogarniając jej kibić spojrzeniem, rozważał coś i siedział w milczeniu, nie wołając jej.

Przyszła sama.

— Cóż panie, czy znowu chcecie mnie poczęstować ważnemi wiadomościami?

Nieznajomy roześmiał się.

— Nic już nie mam ci ciekawego do powiedzenia.

— Czy tak? Zatem mogę już iść

— Pewnie.

— O, proszę! Cóż to, nie wolno mi stać w winiarni tatusia tam, gdzie mi się podoba?

— Ja ci nie zabraniam. Stój sobie gdzie chcesz.

— Widzicie go, jaki łaskawy. Jakby był samym ochmistrzem dworu.

Zdziwił się August tylu wymówkom, zlekka się uśmiechając.

Dziewczyna usiadła przy nieznajomym, jeszcze nadąsana.

— Nic się panu nie stanie, gdy przy was usiądę. Korona panu z głowy nie spadnie, bo jej nie masz. A jeśli nie chce pan ze mną rozmawiać, to nic mi to nie szkodzi.

— Henrjetko, jesteś bardzo przyjemna i chętniebym cię przytulił.

— O nie, nie, bo ucieknę!

Zerwała się, lecz usiadła spowrotem i dodała cichym wzruszonym głosem.

— Nie czyńcie tego panie, bo ojciec patrzy.

— Nie będę, lecz nie uciekaj. Przy tobie słodszy dla mnie czas, milsze chwile.

Popatrzyła na niego i ujrzała potwierdzenie w gorącem spojrzeniu.

— Kto wy jesteście panie i co ja was obchodzę? Mówicie tak tylko.

— Mówię, co czuję. Słyszałem o tobie, a kiedy cię zobaczyłem, pomyślałem, że za mało jeszcze mówili.

Objął ją, lecz Henrjetka szepnęła pośpiesznie:

— Ojciec patrzy.

Nieznajomy z niecierpliwością uchwycił kubek metalowy, ścisnął go dłonią, spłaszczył, potem palcami rozgiął i rozdarł na kawałki, jakby papierzany.

Henrjetka patrzyła na te manipulacje w zdumieniu.

— To wy panie jak król jesteście silni!

Zmieszał się nieznajomy i zapytał.

— A widziałaś ty króla?

Dziewczynie roziskrzyły się oczy.

— Dwa razy go widziałam. Raz na koronacji w Krakowie. Taki był piękny!

— Cóżeś ty tam robiła?

— Ojciec miał zamówienie na wino i sam je powiózł, a ja się naparłam, aby mn wziął. Ślicznie było. Król był w złotym pancerzu, w płaszczu niebieskim ze złocistemi kwiatami, a na kapeluszu miał białe pióra. Ludzie mówili, że diamentów i drogich kamyczków to miał na sobie za miljon talarów.

— Podobał ci się?

— Tak! A na nogach to miał sandały.

— Chciałabyś kiedy z królem mówić?

— O czembym ja z nim mówiła? Ale wy nie wiecie, panie, co szło w pochodzie? Kilkadziesiąt wielbłądów, obładowanych samem złotem i srebrem.

— To dopiero! Drugi raz widziałaś go w Warszawie?

— Na paradzie, lecz niezbyt dobrze, bo ludzie zasłaniali.

August pomyślał: „Trzeci raz widzisz go lepiej". Tak go ta myśl ucieszyła, że nachylił się ku dzieweczce i pocałował ją w różowy policzek.

Henrjetka powiedziała z wyrzutem:

— Mówiłam wam przecież, że ojciec patrzy.

Nieznajomy przytaknął z miną skruszoną. Henrjetka spytała roztargnionym głosem:

— A wyście króla widzieli?

— O, nieraz — odparł August z głębokiem przekonaniem.

„Chyba w lustrze" — pomyślał minister, w milczeniu przysłuchujący się z nad swojego dzbana.

— Powiedz mi — szepnął nieznajomy — czy przybędziesz jutro zobaczyć się ze mną?

Dziewczyna przycisnęła obie ręce do serca, nic nie mówiąc.

— Chcesz? — pytał August natarczywie.

— Chcę — odpowiedziała cicho.

— Przyjedziesz więc?

— Nie wiem.

August wychylił czarkę wina. Przysunął się do dziewczyny i szeptał jej:

— Jutro przedpołudniem u wylotu Podwala będzie stała kareta. Gdy przekonasz się, że nikt cię nie widzi, wskocz prędko do tej karety, a ona przywiezie cię do mnie.

Henrjetka pobladła.

Gdy chwilę nie odpowiadała, rzekł August znowu.

— No jakże?

Henrjetka zwróciła ku niemu duże oczy i zapytała.

— To wy macie, panie, karetę?

Stanął przed nimi ojciec, któremu coś zaczęły się nie podobać te konszachty.

— W sam raz przychodzisz mości gospodarzu, bo czas nam iść — rzekł nieznajomy, rzucając sztukę złota.

Minister pomyślał: „O kilka chwil za późno przychodzisz, mości gospodarzu".

Zostawszy sama, Henrjetka daremnie starała się zrozumieć, co się jej podobało, w nieznajomym. Nie był już pierwszej młodości i przystojność jego przez to nieco szwankowała.

A jednak Henrjetka czuła, że jest urzeczona. Była w nim jakaś wyższa moc i potęga.

Pomyślała o jutrze. „Naturalnie, że nie pójdę". A potem jeszcze: „I karetę ma, patrzcie państwo!"

Na drugi dzień słońce różowiało wśród ogrodów na Krakowskiem Przedmieściu. Henrjetka okrężną drogą biegła do wylotu Podwala.

Stała tam kareta wspaniała, z monogramami. Na koźle nieruchomy stangret w błyszczącej liberji.

Zobaczywszy go, stanęła Henrjetka onieśmielona. Stangret z wyniosłością spojrzał na dziewczynę, idącą skądinąd, niż ta, której się spodziewał.

Henrjetce bardzo się nie podobało to lekceważenie i myślała: „Jak on mie zmierzył wzrokiem! A gdybym tylko chciała, to musiałby mnie wieźć i konie zacinać. Właśnie, że wsiądę".

Otworzyła prędko drzwiczki, wykrzywiła się stangretowi i wskoczyła do karety.

Stangretowi twarz się wydłużyła, zagwizdał przeciągle ze zdumienia, ale prędko zaciął konie i ruszyli.

„A widzisz, bałwanie" — pomyślała Henrjetka.

Rozejrzała się dookoła. Jak tu było pięknie i „atłasowo". Jak lekko kołysała ją kareta!

„Może ja we śnie tak dokądś jadę? A kiedy się obudzę, będzie mi bardzo żal".

Nie obudziła się. Majowa zieloność powiewała nad Wisłą. Chciało się Henrjetce śpiewać. Jadący domek huśtał się miękko.

Kareta zatoczyła się przed wąską bramę, którędy przeprowadził ją czatujący już tam lokaj.

Im wyżej szła, tem bardziej wszystko jej się podobało. Schody błyszczały. Posadzki świeciły się. W pokojach malowidła. Nawet niektóre nieskromne, ale bardzo przyjemne. Jakieś nagie kobiety z marmuru stały po kątach.

Komnata, w której pozostawiono ją, obita była różowym brokatem i cała była miękka, jak łoże z puchów.

Henrjetka klasnęła w ręce z uciechy.

„Jak tu ładnie! — pomyślała. — Jak żyję, jeszcze w takim pokoju nie byłam".

Za chwilę ukazał się mężczyzna, poznany w winiarni.

— Bywaj mi, Henrjetko — zawołał wesoło, z tym dziwnym, przejmującym dziewczęce serce, wyrazem.

Zaraz też w piersiach winiareczki zaczęło się coś tłuc prędko, prędziutko, — i nie wiedziała, co mówić.

— Nie poznajesz-że mnie?

— Poznaję — odpowiedziała, a po chwileczce dodała: —— Ale żebym miała znać, to nie poweim.

— Lękasz się?

— Nie, nie lękam się, lecz trochę mi strach, bo też do jakiegoś zaklętego zamku przywiedliście mnie, panie.

— Nie jesteś z tego rada?

— O, bardzo! — zawołała szczerze Henrjetka. — Taka jestem szczęśliwa, jakby mnie kto na sto koni wsadził. Pięknie tutaj i dobrze. Czy to wasze wszystko?

— Tak.

— I ten pałac?

— Także.

— I te złotości i te kobierce i te bezwstydne panienki marmurowe i to łóżko pod baldachimem?

— Właśnie!

— Na tem łóżku śpicie, wielmożny panie? — zaciekawiła się Henrjetka.

Potwierdził skinieniem głowy.

Henrjetka się zamyśliła.

— Jeżeli chcesz, Henrjetko, to możesz spać na nim także.

— Ja?

— Tak, ty.

Henrjetce oczy zaiskrzyły się, lecz odparła.

— Chcę. Ale sama.

August roześmiał się.

Usiedli obok siebie. Na stoliku stały srebrne kosze z owocami i słodyczami.

— Masz tu łakocie, Henrjetko.

— Dziękuję. Ale powiedzcie mi panie, czy wyście pierwszy raz chyba byli w takiej podłej winiarni, jak nasza?

— Bywałem już. Ho, ho, i rozmaicie. Raz w Norymberdze wjechałem ku przerażeniu wszystkich do piwnicy ratuszowej, wiesz jak? Sześciokonnym zaprzęgiem, po schodach, w galopie, i z pistoletu wystrzelałem wszystkie świece, pogasiłem je strzałami i w galopie wyjechałem. Ludzie myśleli, że szatan wjechał i że oni prosto z winiarni pójdą do piekła.

— Tak uczyniłeś, panie?

— A tak. Mówiono o tem przez rok. Ale

to już dawno temu tak wyczyniałem. Jeszcze jako elektor.

— Jako kto?

—Jako elektor.

—A teraz — teraz kim-że jesteście panie?

— Królem.

Henrjetka roztworzyła różowe usteczka i patrzyła długo w zamyśleniu.

— Cóż, dziecko. Nie myślałaś, że będziesz u twego króla? Bardzo się bawił August Mocny tą sceną.

— Pozwólcie mi, panie, ochłonąć.

Po niejakim czasie Henrjetka zerwała się na równe nogi.

— Najjaśniejszy panie, przebaczcie.

— Cóż ci mam przebaczać, kiedy sam cię tu sprowadziłem.

Dziewczynka ukłoniła się głęboko i tak została z pochyloną głową.

Po chwili znowu jakaś myśl strzeliła jej do głowy i zapytała, podnosząc się:

— Powiedzcie jedno, najjaśniejszy panie, pocoście mi tu kazali przybyć?

— Boś mi bardzo miła, Henrjetko.

— I jeszczem taka jest?

— Ciągle.

Dziewczyna zaniemówiła ze szczęścia.

— Tylko pójdź bliżej, dziewczę.

Podeszła i, onieśmielona, w objęciach króla, pomyślala, że wszystko, czego się pragnie, przychodzi i że przyszło nawet to, o czem w najpiękniejszych snach nie marzyła.

Rozmyślając, chodziła w tych dniach pełnych wiosny po Starem Mieście, jakby nie po tym świecie.

Każdy dom miał złociste obramowania. Na drzewach rosły tęczowe gałązki. Wisła płynęła, jak brokatowa szarfa, zwisająca z niebiańskiego baldachimu.

Gdy Henrjetka na chwilę ukazywała się w winiarni, śpiewała tak, jakby samotna w całym lesie synogarlica, która nie widzi w gąszczach zieleni nic i nikogo, tylko swoje usłanie ze mchu, listków i gałązek.

W majowe przedpołudnia tajemna kareta zawoziła ją do zaklętego zamku. Tam czekał na nią król i ją, winiareczkę ze Starego Miasta, otaczał najtkliwszemi pieszczotami. Życie dało jej najpiękniejsze dnie.

Aż pewnego razu szła Henrjetka przez Miodową, a w oczach jej zaświeciły się łezki.

Jej król odjeżdżał i jeszcze tylko następnego dnia miała zabrać ją karoca, na pożegnanie.

— Trudno. Odjeżdża. Właśnie jak ten okręt nad bramą na Świętojańskiej ulicy.

I widziała już, jak ten rzeźbiony okręt z nad bramy, który zdawał się trwać zawsze, wyrusza i wtacza się w fale błękitne, ale coraz odpływające dalej. Jeszcze maszty i żagle błysnęły pod słońce i kołyszą się miarowo.

Henrjetka weszła na rynek Starego Miasta i stanęła przy studni.

Zdaleka tylko, z uszanowaniem patrzą na nią jacyś chłopcy i kilka zazdrosnych dziewcząt.

— A jutro jeszcze pojadę na Zamek — pomyślała i zarumieniła się z radości.

Skoczyła ku domowi, ku bramie, przy której wisiała blada teraz latarka. Trzęsły się jeszcze Henrjetce brylantowe łzy na rzęsach, ale na ustach miała słodki uśmiech.

PODRÓŻNIK z Wyspy Kościuszki



Stefan Jarosz z małym eskimosem.

Powrócił do Polski po rocznym pobycie w Ameryce, z czego dwa miesiące spędził samotnie na wyspie Kościuszko, młody badacz, geograf, namiętny propagator Polski, jej folkloru, a zwłaszcza Podhala, Tatr i góralszczyzny, nowosądeczanin, dr. Stefan Jarosz. Młody ten uczony zdołał bez pomocy instytucyj publicznych, skromnemi środkami finansowemi, ale zato z ogromnym zapałem i przedsiębiorczością wiele dokonać dla propagandy Tatr we własnym kraju i dla popularyzacji Polski za oceanem. Równolegle do tej roboty propagandowej dr. Jarosz kształcił się, przeprowadzał badania z ramienia poważnej instytucji naukowej, podróżował i uprawiał wysokiej klasy turystykę W Warszawie bawił obecnie dr. Jarosz zaledwie kilka dni, zatrzymawszy się u swego brata, znanego adwokata. Ze Stanów przywiózł młody badacz i podróżnik na „Piłsudskim" wycieczkę Polaków amerykańskich w liczbie blisko 60 osób, które zachęcone jego odczytami o kraju, zdecydowały się na daleką podróż. Z Gdyni wszyscy rozjechali się po kraju, do rodzin i bliskich. a 12 maja zjechali się wszyscy z dr. Jaroszem na czele w Krakowie, ażeby wziąć udział w uroczystości złożenia ziemi, pobranej z najwyższego szczytu wyspy Kościuszki na Sowińcu. Zdobywca szczytu Mount Francis (1500-metrowa ściana wapienna) Jarosz zatknął tam polską flagę.

Zanim powtórzę to, co mi dr. Jarosz opowiedział o swoim pobycie, pracach i badaniach na bezludnej wyspie Kościuszki, chcę pokrótce przypomnieć jego pierwszą wyprawę do Ameryki w 1927 roku.

Poniżej: Znany podróżnik przed swoją chatą na wyspie Kościuszki.



Jako delegat Związku Podhalan i Towarzystwa Tatrzańskiego, wyjechał Jarosz w lutym 1927 r. do Ameryki Północnej. Zjechał 108 miast amerykańskich i wygłosił ponad 400 wykładów i odczytów. Dla życia Polonji amerykańskiej miało wielkie znaczenie założenie przez niego w Chicago Związku Podhalan, należy bowiem pamiętać, że w Stanach Zjednoczonych żyje ok. 300 tysięcy naszych górali, którzy zeszli do amerykańskich ceprów, ażeby wśród nich pracować. Jarosz, który uważa się za stuprocentowego górala, jeździł po Ameryce w parzenicach i góralskiej gunce. Później, za uzbierane w ciężkim trudzie dolary, podróżował po Ameryce, zwiedzając parki narodowe w Stanach, Kanadzie i na Alasce, gdyż interesowały go zagadnienia ochrony przyrody i metody organizacji parków narodowych.

W czasie pobytu na Alasce przedsięwziął wyprawę wysokogórską na najwyższy szczyt Ameryki Północnej Mac Kiney (ok. 7 tysięcy metrów), towarzyszył mu traper, Polak z pochodzenia Leon Koppa, osiadły od szeregu lat na dalekiej północy. Jarosz i jego towarzysz dotarli tylko do lodowca Muldrow i musieli się cofnąć zpowodu nawałnicy śnieżnej.



W otoczeniu eskimosów przed dalszą podróżą.



Na prawo: Na szczycie gór Wyspy Kościuszki Dr. Jarosz zatknął polski sztandar.

Po powrocie do kraju w roku 1929, Jarosz rozpoczął studja na uniwersytecie Jagiellońskim. Miał już wtedy za sobą ukończony wydział leśny na uniwersytecie w Poznaniu. Teraz wtąpił na wydział filozoficzny, poświęcając swe studja geografji. Specjalnością dr. Jarosza jest geografja lasów. Studja uniwersyteckie nie wypełniają mu całego wolnego czasu, Jarosz zwykł równolegle prowadzić kilka prac. Rozpoczyna więc znów wielką podróż odczytową po Polsce, wygłaszając w ponad trzystu miastach 1.500 wykładów o swej podróży po Ameryce „Przez prerje i góry Ameryki", „W tundrach i lodowcach Alaski" i „W puszczy kanadyjskiej".

W marcu 1935 r. dr. Jarosz udaje się poraz drugi do Ameryki, tym razem z ramienia Instytutu Geograficznego uniwersytetu Jagiellońskiego, celem przeprowadzenia badań naukowych na wyspie Kościuszki. Kiedy pytam Jarosza, dlaczego wybrał właśnie wyspę Kościuszki, mówi mi:

— Pierwsze — to względy sentymentu, jest to przecie jedyna wyspa, nazwana imieniem polskiego bohatera narodowego. — A względy rzeczowe? Wyspa Kościuszki nie była zupełnie opracowana pod względem geograficznym. Amerykanie posiadają zaledwie szkic topograficzny tej bezludnej wyspy, na którym dokładniej wykreślone były tylko wybrzeża. Poza geograficznem zbadaniem wyspy, miałem również zadanie skolekcjonowania roślin dla Instytutu Botanicznego U. J.

— Po przybyciu do Chicago, zgłosiłem się do profesorów uniwersytetu: pp. Griffitha i Fullera, zapoznałem ich z naukowemi celami mojej wyprawy i poprosiłem o wyznaczenie mi towarzysza. Uczeni amerykańscy wybrali młodego botanika dr. Coxa z Indjanopolis. W drodze na Alaskę zatrzymaliśmy się z Coxem przez dwa tygodnie w brytyjskiej Columbji, pragnąc dotrzeć do najwyższego szczytu gór kanadyjskich Mount Robson. Na Alaskę przybyliśmy 13 lipca Już od kilku tygodni czułem się bardzo źle. Mimo to chciałem odpłynąć jaknajprędzej wraz z Coxem na wyspę. Mój towarzysz jednak przeciwstawił się temu stanowczo i wezwał lekarza. Okazało się, że to nie wątroba, jak mówili lekarze w Columbji, a bardzo ostre zapalenie ślepej kiszki. „Operacja musi być zrobiona natychmiast" — powiedział chirurg, który zresztą nie robił tajemnicy z tego, że niebezpieczeństwo jest bardzo znaczne. Po operacji cały miesiąc trwała rekonwalescencja w szpitalu. Dopiero 14 sierpnia wylądowałem na wyspie Kościuszki. Dr. Cox musiał niedługo potem wracać do Indjanopolis w związku z rozpoczęciem roku szkolnego. Zostałem sam z psem i dwa miesiące, dokładnie 61 dni, żyłem jak Robinzon Cruzoe samotnie na bezludnej wyspe.

— Jakież wspomnienie posiada pan o tej robinzonjadzie?

— Jaknajlepsze — mówi Jarosz. — Muszę wyznać, że dużo gorzej czuję się w skórze cywilizowanego mieszczucha w starannie zaprasowanych spodniach, niż z zarośniętą, tygodniami niegoloną gębą, w stroju północnego trampa, w gumowych nieprzemakalnych butach.

— Roboty miałem bardzo wiele, a prócz tego trzeba było samemu myśleć o aprowizacji i własnem bezpieczeństwie, szczególnie podczas nocy. Sypiałem przy płonącem ognisku, gdyż dookoła krążyły wilki. Przekonałem się o prawdziwości twierdzeń amerykańskich północnych traperów, którzy uważają, że na Alasce niedźwiedź, czy inny dziki zwierz (prócz wilków i to w nocy) nie zaatakuje człowieka Dopiero zaczepiony, czy rozdrażniony, może się stać dla nas niebezpieczny. Doświadczyłem tego kilkakrotnie podczas samotnego pobytu na wyspie. Raz spotkałem się oko w oko z niedźwiedzicą, która nawet nie próbowała mnie atakować. Dopiero kiedyś, później, gdy mój pies zaczepił małe niedźwiadki, matka, stając w ich obronie, okazała grozniejsze względem nas zamiary, ale i to spotkanie zakończyło się szczęśliwie. Władze amerykańskie płacą traperom 20 dolarów za zabitego wilka; wilki bowiem niszczą rogacze, dolara płacą za orła, który trzebi łososie, a dwa dolary za fokę, która jest klęską rybostanu.

— Przywiezione na wyspę zapasy żywności uzupełniałem prawie codziennie potrawą z łososia. Łososie, których jest tam mnóstwo, strzelałem z rewolweru.

— Wyspę przemierzyłem wzdłuż i wszerz, dokonałem pomiarów z wierzchołka Mount Francis i objechałem cały ląd łodzią dookoła. Jedynem niebezpieczeństwem, którego w czasie wędrówek po wyspie musiałem się jaknajbaczniej wystrzegać, to stare żelazne sidła na drapieżniki, zastawione przed wielu laty przez Indjan. Niestety niewiadomo, w jakich miejscach sidła te zostały zastawione i wskutek tego może się zdarzyć, że zamiast zwierzęcia, w straszliwy potrzask dostaje się człowiek, a wtedy grozi mu conajmniej zgruchotanie nogi.

W czasie swego dwumiesięcznego pobytu na wyspie, Jarosz odkrył kilka szczytów górskich i jezior, które otrzymają w najbliższej przyszłości oficjalnie polskie nazwy. W październiku, kiedy to na Alasce rozpoczyna się groźna północna zima, podróżnik opuścił wyspę, udając się przez Kanadę do Stanów Zjednoczonych. Znów następuje cykl około 200-tu wykładów i odczytów o Polsce dla naszych emigrantów i o wyprawie na wyspę Kościuszki dla publiczności amerykańskiej. Sama wyprawa, jak i prelekcje o niej zyskują wielki rozgłos na łamach prasy. Kluby i stowarzyszenia geograficzne oraz turystyczne zapraszają młodego polskiego uczonego na uroczyste zebrania, gdzie przyjmowany jest owacyjnie.

— Czy myśli pan znowu o jakiej podróży? — pytam Jarosza.

— Oczywiście, już w czerwcu wracam do Ameryki. Muszę dokończyć na wyspie prac naukowych, oraz filmu, którego pierwszych kilkaset metrów wypadło doskonale. Chyba dopiero w końcu bieżącego roku powrócę do kraju na dłuższy pobyt.

Wł. M-t.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

O CENACH ZNACZKÓW

Nie będziemy tu wyjaśniali, że znaczki niestemplowane mają handlową wartość przeważnie znacznie większą od używanych, jedynie laicy wyobrażają sobie, że egzemplarz „nowy" jest bez wartości. Ceny za wszystkie znaczki podają katalogi. Któż jednak z początkujących może się w podobnym „labiryncie" zorjentować! Niejednokrotnie pisaliśmy już, że cyfry podawane w cennikach jak Michel, Senf, Yvert są jedynie „stosunkowe" i oznaczają właściwie stosunek wartości jednej marki do drugiej. Te ceny rabatowe powstały właściwie same ze siebie, a wytworzył je kryzys, gdyż zaczęto udzielać powoli coraz to większych opustów i obecnie zamiast 1 marki niemieckiej, płaci się prywatnie 30 gr., a za jednego franka 6 do 8 groszy. Jest to nonsens właściwie, gdyż przy b. wielkiej ilości znaczków nie można w żaden praktyczny sposób takich zniżek udzielać, w ten też sposób polski bieżący niestemplowany znaczek za 1 zł. notowany 1 markę, powinnoby się otrzymać za 30 groszy! Tak więc znaczki bieżące muszą być uważane za znacznie wartościowsze i to znowu tylko w Polsce, bo zagranicą, a zwłaszcza w Niemczech wobec wprowadzenia ograniczeń dewizowych cena znaczków jest bezporównania wyższą, aniżeli u nas i wynosi nie 30, ale 50—80 groszy za 1 zł. Dzisiaj wprawdzie zakupywanie znaczków zagranicą jest niemożliwe i drogą wymiany wyjątkowo tylko możnaby dojść do większych rzadkości, należy przypuszczać, że ceny pójdą w górę. Polskie katalogi czyto Ikarosa, czyto Witkowskiego, też nie uchwyciły właściwych cen. Witkowski jest zawsze za drogi i ma charakter katalogu rabatowego, naturalnie nie w tym stosunku co Troede, Ikaros natomiast jako dzieło już o bardzo poważnym charakterze będzie musiał corocznie dołączać zmiany, gdyż falowanie cen jest przecież nieuniknione. Tendencja, aby katalogi ustaliły wreszcie tak trudne do uchwycenia „pretium" i to omal zawsze „affectionis" znaczków, a nie zadawalały się kombinacjami rabatowemi jest oddawna przez wszystkich poważniejszych filatelistów propagowane.

FOTOGRAFJA AMATORSKA



Powyżej: „Narcyze" — fot. A. Gorecki, Kielce.



„Na Kasprowym" fot. A. Wasilewski — Kraków.

„Marzenie" — fot. Dr Jacek Jedliński — Turka nad Stryjem.



„Schody" (Bibljoteka Jagiellońska) — fot. Konrad Syrop, Warszawa.



„Piorun" — fot. Br. January Wilk, Pustelnia Dukla.



„Nautilus" - pierwsza łódź podwodna

Dzieje Amerykanina Fultona i jego N a u t i l u s a, pierwszej łodzi podwodnej *), są ciekawym przyczynkiem do historji cywilizacji, jak i do psychologji wielkich mocarstw europejskich.

Nowoczesny „Nautilus" Huberta Wilkinsa jest „potomkiem" wielkiego antenata.

Poniżej: Łódź podwodnej floty U. S. A. podczas manewrów w okolicy Block Insland.

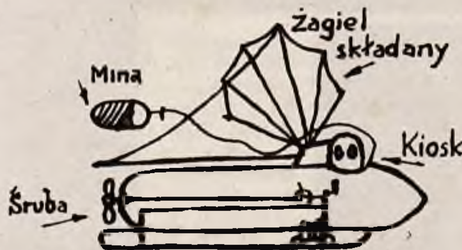


Nic niema nowego na świecie. Wielkie problemy, które ludzkość stopniowo, z biegiem wieków rozwiązuje i które stosowane praktycznie dają obecnemu życiu naszemu taki szybki rytm i tak silne tętno, niepokoiły ją od wieków.

I tak w spuściźnie Leonarda da Vinci znajdujemy obliczenia, ba, nawet dokładne rysunki konstrukcji aparatów lotniczych. — W XVII wieku znanem było maleńkie działo, które można uważać, jako zawiązek i prototyp dzisiejszego karabinu maszynowego; a Diderot, marzyciel, entuzjasta i artysta, lecz, którego umysł ruchliwy obejmował przytem wszystkie dziedziny wiedzy, poruszał przy końcu XVIII wieku problem telegrafu i telefonu.

Ale były to często albo marzenia genjalnych ludzi, które ze sfery marzeń nie wyszły, albo nieudolne, prymitywne próby, które dla braku odpowiednich środków technicznych po wykonaniu nie dawały zadawalających rezultatów — i myśl genjalna drzemała nieraz wieki całe, nim znalazł się człowiek szczęśliwszy, któremu postęp i zdobycze nauki, w międzyczasie poczynione, umożliwiły myśl tę podjąć na nowo, pogłębić, wykonać — i wreszcie podać światu w formie wielkiego wynalazku, wprowadzającego nieraz zupełny przewrót w życie ludzkości.

Bywało też tak, że obskurantyzm, względy natury politycznej, lub lęk, że nowe odkrycie sprowadzi za wielki przewrót w istniejący porządek rzeczy, skazywały myśl genjalną na zagładę, lub odsuwały jej urzeczywistnienie na długie szeregi lat.



Przekrój pierwszej łodzi podwodnej, zbudowanej przez Fultona.

Robert Fulton urodził się w r. 1765 w Pensylwanji. Od najmłodszych lat okazywał niezwykłe zdolności; szczególniej pociągały go odkrycia i wynalazki na polu techniki. Był to wogóle genjalny umysł — urodzony wynalazca. W ciągu całego swego życia był czynny na najrozmaitszych, niemniej zbliżonych do siebie, polach. I tak: wynalazł piłę do cięcia marmuru — porobił ulepszenia w fabrykacji lin — zajmował się problemem żeglugi śródlądowej (zaproponował rządowi francuskiemu projekt rozległej sieci kanałów i tam, które dla przemysłu i handlu francuskiego miały doniosłe znaczenie). On też wpadł na myśl zbudowania pierwszej na świecie panoramy, która przedstawiała widoki Paryża i okolicy.

Ale wszystkie te prace uważał Fulton za poboczne i nie poświęcał im wiele czasu. Myśl jego zajmowały przedewszystkiem dwa wielkie problemy: żegluga podwodna i żegluga parowa — i nad nimi pracował nieustannie. Był przytem marzycielem i utopistą. W broszurce o żegludze podwodnej, którą wydał, proklamuje głośno, iż pragnie przynieść światu broń, której zastosowanie uniemożliwi wszelką walkę na wodzie, przywróci wolność mórz — co zapewni raz na zawsze dobrobyt i szczęście całej ludzkości

Mając lat 30 udał się do Francji, gdzie zajął się nim poseł Stanów Zjednoczonych. W roku 1797, Fulton zaproponował dyrektorjatowi, że skonstruuje na własny koszt „Nautilusa mechanicznego" — jak nazwał swą łódź podwodną — i odda go do użytku floty francuskiej. Z jego pomocą, jak powiadał, Francja zniszczy flotę angielską, blokującą wówczas porty francuskie, co bardzo dotkliwie dawało się we znaki krajowi. Propozycje jego jednakże odrzucono. Niezrażony tem Fulton, gdy w rok później admirał Bruix został ministrem marynarki, przedłożył mu ponownie swą propozycję. Admirał oddał projekt do zbadania specjalnej komisji; ta złożyła o nim bardzo pochlebny raport z wnioskiem: „Obywatelowi Fultonowi należy udzielić upoważnienia i potrzebnych środków, do zbudowania maszyny i otoczyć całą sprawę najgłębszą tajemnicą".

„Nautilus" był łodzią drewnianą, długości 6.50 m, szerokości 2 m. Posiadała podwójne dno, a spód jej obity był blachą. W komorze między jednem a drugiem dnem, wysokiej na 52 cm, znajdowała się pompa ssąco-tłocząca, która stosownie do potrzeby napełniała komorę wodą, co powodowało zanurzanie się „Nautilusa" — lub wyrzucała wodę, co pozwalało łodzi wypływać znowu na powierzchnię. „Nautilus" poruszał się pod wodą zapomocą śruby, umieszczonej w tyle łodzi. (Dzięki innemu Amerykaninowi Bushell'owi, znano już wówczas system śruby od kilku lat). Śrubę tę wprawiano w ruch ręcznie, zapomocą korby i systemu zębatych kół. „Nautilus" posiadał też maszt i żagiel, jedno i drugie ruchome — tak, że kiedy zanurzał się, maszt i żagiel kładły się płasko na pokładzie. Obsługa łodzi składała się trzech ludzi. Wchodzili oni do wnętrza przez jedyny otwór jaki posiadał „Nautilus", znajdujący się w kopułastej wieżyczce („kiosk" na rysunku) na pokładzie. Światło dochodziło do jego wnętrza, przez okrągłe, w grube szklane szybki zaopatrzone okienka, umieszczone po bokach łodzi.

Ale najpomysłowszą — i zarazem zadziwiającą swą prostotą — częścią „Nautilusa", było jego wyekwipowanie bojowe.

W komorze na przodzie łodzi, znajdował się kołowrót; na nim nawinięty był długi sznur. Sznur ten, przeciągnięty na pokład, przechodził, jak nić przez ucho igielne, przez otwór silnego metalowego kolca, sterczącego

*) Pierwszy pomysł łodzi podwodnej w roku 1766 powziął Amerykanin Bushell; lecz Fulton pierwszy zbudował łódź podwodną, mającą dwie duże zalety: 1° niezmiernie pomysłową i prostą przytem konstrukcję, 2° stosunkowo znaczną już wartość bojową.

pionowo w górę ze szczytu kopulastej wieżyczki. Kolec ten drugim tępym końcem przez kopułę wieżyczki i we wnętrzu jej wśrubowany był w żelazny pręt. U końca przewleczonego przez kolec sznura, znajdował się walec metalowy zawierający 50 kg. prochu, opatrzony w zapalnik w miejscu zaczepienia. W przyzwoitej odległości „Nautilus" ciągnął ów ładunek za sobą w wodzie.

Kiedy zanurzano się do ataku, podjeżdżano łodzią pod kadłub okrętu, którego zagładę zamierzano. Oczywiście znano wtedy tylko okręty drewniane. Kilkoma silnemi uderzeniami młota podbijano pręt żelazny we wnętrzu wieżyczki, przez co kolec na jej szczycie wnikał w dno nieprzyjacielskiego statku — mając zawsze sznur przewleczony przez ucho. Wtedy odśrubowywano kolec od pręta i pozostawiono go w spodzie nieprzyjacielskiego okrętu, a „Nautilus", ciągle pod wodą, oddalał się jak mógł najszybciej, rozwijając sznur z kołowrotu. Osiągnąwszy odległość ,na której siła wybuchu nie mogła już być niebezpieczną dla łodzi, przestawano rozwijać sznur, płynąc jednak dalej w tym samym kierunku, przez co sznur wyprężał się i zaczynał przyciągać ładunek umieszczony na samym końcu, ku kolcowi tkwiącemu ciągle w spodzie okrętu, przez który był przewleczony. W końcu zapał uderzał w kolec — następował wybuch — i okręt nieprzyjacielski wylatywał w powietrze.

Daleko było oczywiście „Nautilusowi" do dzisiejszej łodzi podwodnej, poruszanej motorem, opatrzonej peryskopem i wyrzucającej większą lub mniejszą ilość torped, na odległość nawet kilku kilometrów. Niemniej wynalazek Fultona, choć tak prymitywny, mógł być straszną bronią na czasy ówczesne i rozumnie użyty przez Francję, mógł zmienić do gruntu stosunki polityczne Europy.

Pierwsze próby z „Nautilusem" odbyły się na Sekwanie w Rouen, następnie na morzu w Hawrze i wypadły całkiem zadawalniająco. Fulton wraz z dwoma towarzyszami, po raz pierwszy zanurzywszy się, pozostał dwie godziny pod wodą. „Nautilus" zanurzony poruszał się z szybkością 35 metrów na minutę — a siła wybuchu jego miny była wystarczająca do zniszczenia okrętu bojowego.

Z Hawru Fulton udaje się do Cherbourga na swym „Nautilusie", dostawszy rozkaz zaatakowania floty angielskiej blokującej ów port. Lecz okręty angielskie, powiadomione przez szpiegów o grożącem niebezpieczeństwie, umykają spiesznie na pełne morze. W Cherbourgu Fulton demonstruje znów swą łódź i pozostaje 6 godzin pod wodą.

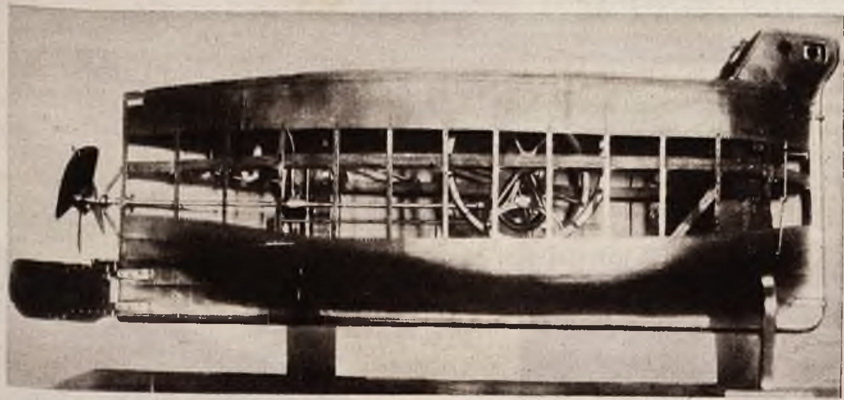
Bonaparte zainteresował się wówczas „Nautilusem" i nakazał budowę drugiej łodzi, przy której Fulton poczynił daleko idące ulepszenia. I tak przy próbach dokonywanych w Breście w roku 1801 „Nautilus II", nurkując osiągnął 8 metrów głębokości, co było już ogromnym krokiem naprzód. Z niewiadomych jednakże przyczyn w ministerstwie marynarki w Paryżu zapanował wtedy niekorzystny nastrój dla Fultona i jego wynalazku. Lekkomyślnie zaniechano dalszych prób i dalszych konstrukcyj — słomiany ogień wypalił się! Genjalny Amerykanin zniechęcony, opuszcza Francję w roku 1803 i udaje się do Anglji.

W Anglji trafił Fulton do Pitta, wówczas pierwszego ministra. W kołach wojskowych angielskich zapatrywano się wówczas bardzo sceptycznie na efektywność wybuchającej w wodzie miny. — Lecz Fulton, wysadziwszy w powietrze zapomocą jednej jedynej miny bryg „Dorothea" w obecności Pitta i całej admiralicji, przekonał wszystkich do swego wynalazku.

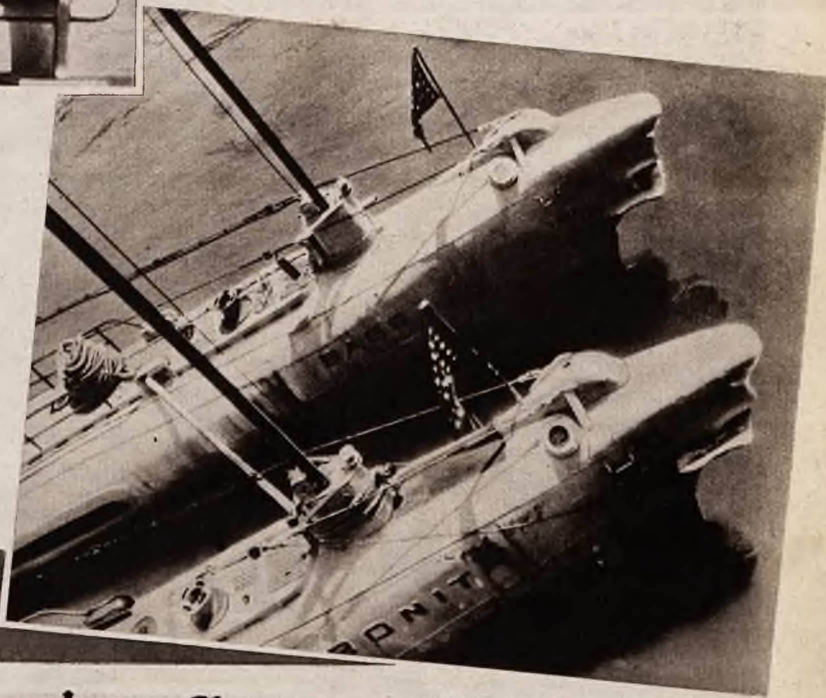
I wtedy właśnie stała się rzecz bardzo znamienna. — Niezwykły sukces Fultona stał się grobem jego wielkiej myśli. Obznajomiwszy się dokładnie z planami „Nautilusa", poznawszy jego konstrukcję i przekonawszy się naocznie o jego wartości bojowej, Pitt powiedział: „Gdyby ten sposób walki wszedł w użycie — wybiłaby ostatnia godzina dla marynarki wojennej". — Zaś admirał lord St. Vincent wyraził się: „Ten sposób wojowania jest niepotrzebny dla nas. Bez niego i tak jesteśmy panami morza. Jeśli zaś kto inny dostanie go w ręce, panowanie nasze na morzu skończy się". Słowa te — bynajmniej nie prorocze, jak dziś widzimy, były wyrokiem zagłady, wypowiedzianym nad Fultonem i pracą wielu lat jego życia. Wynalazca, zrażony już teraz ostatecznie, powrócił do ojczystej Ameryki, gdzie zajął się problemem żeglugi parowej i zbudował pierwszy parostatek, który przepłynął przez rzekę Hudson.

I jak najpierw nieopatrzność i krótkowzroczność Francji, tak potem egoistyczne rachuby Anglji cofnęły dalszy rozwój żeglugi podwodnej na długie lata.

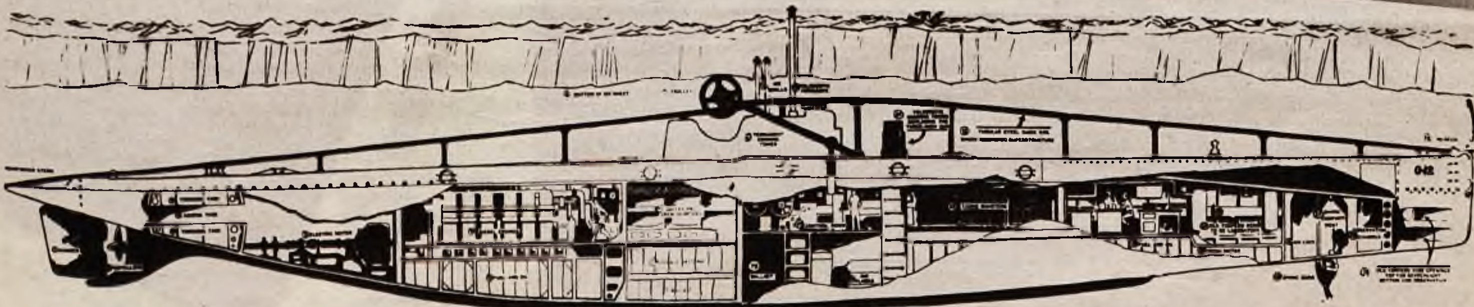
Dopiero w pół wieku później Wilhelm Bauer, konstruktor niemiecki, podjął na nowo myśl Fultona. W roku 1851 zbudował łódź podwodną, którą nazwał „Brandtaucher" i która miała służyć do obrony wybrzeży. Ów „Brandtaucher" osiągnął wprawdzie już 8.80 m głęb. przy zanurzeniu, lecz okazał się za słabej kontrukcji. Wobec niepowodzeń w Prusach, Bauer udał się do Petersburga, gdzie w roku 1855 zbudował drugiego Brandtauchera. Ten wykazał większą wytrzymałość niż pierwszy i przepłynął pod wodą przestrzeń między Kronstadtem a Petersburgiem. Lecz pierwsze łodzie podwodne współczesne zaczęła budować Francja, dopiero w ostatnich dziesiątkach zeszłego stulecia — a więc blisko 100 lat po puszczeniu pod wodę „Nautilusa I". **J. R.**



Na lewo: Model pierwszej niemieckiej łodzi podwodnej w muzeum niemieckiem w Monachjum zbudowanej przez Wilhelma Bauera w połowie XIX w.



Na prawo: Dwie amerykańskie łodzie podwodne czekają w porcie wojennym w San Francisco na dalsze rozkazy.



Przekrój łodzi podwodnej Wilkinsa, dostosowanej do podróży pod lodem.

kontrasty...

W każdem mieście o starodawnej architekturze spotykamy kontrasty, wynikające z powstawania obok niej nowych form współczesnego życia.

Nowoczesny wspaniały gmach, dumnie wznoszący swe mury w pobliżu szczątków średniowiecznej fortyfikacji — rasowy kabrjolet o linjach opływowych, bezszelestnie sunący po bruku wąskiej uliczki starego miasta — neonowe reklamy, krzykliwie podkreślające modernizm w sąsiedztwie iluminowanej wieży zabytkowego kościoła — tramwaj, budzący stukotem swych kół zaułek ze snu kilku wieków — dziwaczna w kształtach stacja benzynowa obok surowych murów średniowiecznego zamku — oto kilka zaledwie kontrastów, jakże charakterystycznych, których mnóstwo spotykamy co dnia, a do których widoku przyzwyczailiśmy się, nie zwracając na nie większej uwagi. el.

Na lewo: Wieś i miasto — mleczarka przygląda się wielkomiejskiej wystawie...
Fot. inż. Weinberg — Radomsko.



Powyżej: Aerodynamiczny kabrjolet w uliczce starego Krakowa...
Fot. F. Nowicki — Kraków.



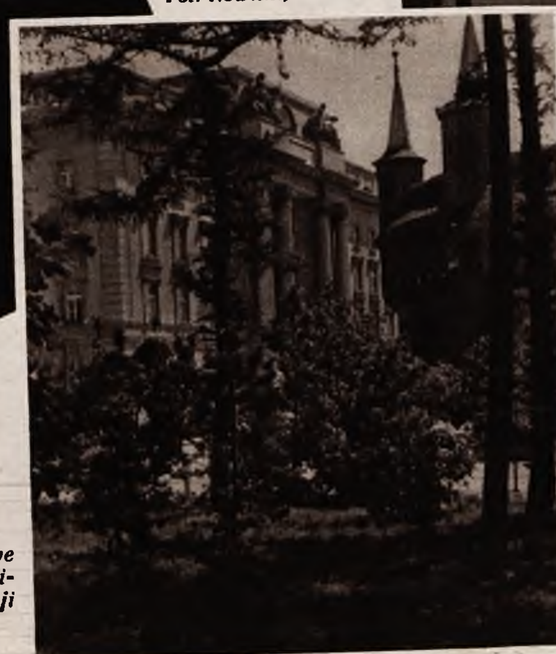
Powyżej: Samochód jadący z pomocą poczciwego siwka na tle luksusowej wystawy „Polskiego Fiata" — to świetna reklama dla naszego automobilizmu...
Fot. inż. Weinberg — Radomsko.

Na lewo: Tramwaj — nowoczesny środek lokomocji — na tle średniowiecznej architektury (kościół św. Marka w Krakowie).
Fot. F. Nowicki — Kraków.

Powyżej: Tak modne dziś neonowe napisy firmowe, kontrastują z iluminacją wieży kościoła Panny Marji w Krakowie...
Fot. F. Nowicki — Kraków.



Na prawo: Stacja benzynowa w sąsiedztwie murów obronnych Wawelu — to kontrast coraz częściej spotykany w historycznych miastach...
Fot. Nowicki, Kraków.



Na lewo: Średniowieczna i nowoczesna architektura — Gmach Banku Polskiego i Barbakan w Krakowie. Fot. Nowicki, Kraków.



Na lewo: Dorożkarz Chevallereau i jego wierny koń Herkules.

OSTATNI DOROŻKARZ z MONTPARNASSE'U

Kimże jest ten niski starzec, tak uparty, który w zgiełkliwym, gorącym, krzyczącym i pełnym ruchu Paryżu, nie chce się zgodzić na to, by na zawsze „zjechać do remizy"? Kimże jest ten niski mężczyzna, na wysokim koźle dorożki, który od lat 50, co rano o 7 godzinie przybywa przed dworzec na Montparnassie od strony wyjścia dla podróżnych, a około 9.30 wieczorem jak ktoś, kto wykonał dobrą pracę, wraca powoli małą, krętą uliczką? Szoferzy taksówek mają dla tego „ojczulka" pobłażliwy uśmiech i pozwalają mu wysuwać się zawsze na pierwsze miejsce w szeregu lśniących samochodów, oddają mu najlepsze stanowisko, a nawet przyjacielsko dodają otuchy słowami: „Przyjdzie taki dobry dzień, ojcze Chevallereau, może jutro, może pojutrze zjawi się jednak klient"...

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. LORANT – LONDYN

Poniżej: Ginący romantyzm: Staroświecka dorożka na tle katedry Notre Dame.

Tempo jazdy dorożki przypomina dawne, dobre czasy..

I pan Chevallereau nie traci otuchy. — Oczekuje z tą samą cierpliwością, z tym samym uśmiechem zabłąkanym na wargach, na tym samym koźle z tym samym biczem, drżącym w rękach od pięciu dziesiątków lat i czekać będzie jeszcze... Odwaga jego i nadzieja są niewzruszone i datują się jeszcze zprzed wojny.

Dlaczego jednak ten starzec w wyszarzałym surducie i w zniszczonej dorożce, przybywa co rano jak wierny strażnik przed ten właśnie dworzec, z którego nie wychodzi do niego nigdy żaden klient, żaden pasażer?

Dlaczego zrywa on się w nocy i daje obrok swym koniom w godzinie, gdy dopiero pieją koguty po raz pierwszy, rozdzierając harmonijną ciszę świtu? Dlaczego kładzie się on spać tak późno i dlaczego sam prowadzi swe gospodarstwo? Poco ten trud ustawiczny, te wyjazdy poranne bez celu i bez racji? Dlaczego upiera się on i pozostaje jako ostatni z żyjących z tej legendarnej i zaginionej już rasy dorożkarzy Paryża? Skąd płynie jego odwaga, która pozwala mu tak bohatersko opierać się drwinom i złośliwości świata, oddanego postępowi?

Przybywszy, ażeby uzyskać odpowiedź na powyższe pytanie od tego prawdziwego ostatniego Mohikanina, zwróciłam się naprzód do korpulentnego cerbera, który stróżuje od dnia, w którym p. Chevallereau powrócił z ratusza z orderem. Pilnuje on spokojnie, ale odważnie swego lokatora, dla którego ma szacunek. Straż ta nie jest niepotrzebna. Od wielu już miesięcy mnóstwo ciekawych przybywa podziwiać ostatniego w Paryżu człowieka na koźle. Jedni przychodzą, ażeby zobaczyć, inni, ażeby zadawać pytania. Otóż p. Chevallereau nie chce wcale z nimi mówić. Ponieważ jednak dwa konie i dorożka nie mogą mieszkać bezkarnie od lat 25 i niespostrzeżenie w dzielnicy paryskiej, po 4-godzinnem dowiadywaniu się, odkryłam p. Chevallereau w minjaturowej stajni opodal dworca Montparnasse. — Przyjął mnie z sympatją, ponieważ kocham konie. Czynił honory domu.

— Oto Herkules, a to Tintin. Herkules jest słabszy, lecz mam go od źrebaka. Wydawał się wtedy silny i stąd to imię, które mu zostało.

— Pan wyprowadza naraz oba konie?

— Nie. Herkules wychodzi przedpołudniem, a Tintin popołudniu. Zmieniają się, gdyż nie są już młode. Gdybym ich nie oszczędzał, ryzykowałbym to, że pewnego dnia „nawaliłby mi motor"... — W tem miejscu jakby zawstydził się, że użył tak jaskrawego wyrażenia ze słownictwa swoich rywali, szoferów taksówek.—Zapytuje mnie pani, dlaczego trzymam się mego fachu, chociaż nic mi nie przynosi. Dlaczego jestem ostatnim dorożkarzem w Paryżu? Cóż to za pytanie! Przecież, gdy nie widzę Herkulesa, jestem zupełnie chory. A Tintin jest częścią mojego życia, tak samo jak mój kozioł i mój surdut dorożkarski. Już jako dziecko siedziałem na koźle. Od tego czasu czynię wciąż to samo. Przecież rozumie pani? Gdybym się rozłączył z memi zwierzętami, umarłbym z pewnością. A więc czuwam nad niemi, a ponieważ nie mogę nic nie robić, więc pracuję. O siódmej rano jestem przed dworcem, o jedenastej jadę do Lasku. Dobrze jest bowiem, jeżeli Tintin przespaceruje się trochę. Nie lubi pozostawać długo w zamknięciu. W ten sposób przechodzi moje życie. — Inaczej nie byłoby to życiem.

— A klienci?

— Klienci? Tak, raz na tydzień przeciętnie, na przejażdżkę do Lasku w niedzielę.



Poniżej: Współzawodnicy — dorożka przeszłości i auto współczesne.

Nigdy to nie są młodzi ludzie, którzy wciąż się spieszą. Przedtem miałem dwóch wiernych klientów. Codziennie woziłem ich przez 15 lat. Umarli. Dzieci ich mają auta. Minęły dobre czasy, kiedy woziłem Sarę Bernhardt i Wiktora Hugo. Gdyby moja dorożka mogła mówić, opowiedziałaby ciekawe rzeczy... Ja jednak nie mogę, bo szanuję tajemnicę życia tych, co pomarli.

Mała łza zabłysła w pomarszczonym kącie oka. Proszę go, ażeby przygotował się do wyjazdu. Twarz jego rozjaśnia się. Ale przestrzega:

— To kosztuje 20 franków!

— Ależ pan jest drogi, doprawdy!

— Nie droższy od taksówki.

— Tak, ale taksówka jedzie szybciej.

— Wy wszyscy zwarjowaliście na punkcie szybkości. Ale tylko sądzicie, że posuwacie się szybciej. W rzeczywistości bowiem czynicie tylko więcej hałasu.

Ruszamy... Przechodnie zatrzymują się na trotuarach i patrzą:

— Dorożka...

Młodzi wymawiają to słowo z ironją, starzy z pewnym respektem. Dla pierwszych jest to niepotrzebna relikwja, coś w rodzaju objektu muzealnego. Ale ta para, którą spotkaliśmy na Faubourg Saint Germain, a która widziała defilujących żołnierzy drugiego cesarstwa, przystanęła i patrzyła na dorożkę oczyma pełnemi uczucia. Staruszek i jego żona trzy razy oglądali się za nami, tak, jakgdyby chcieli upewnić się, że nie mylą się, a następnie melancholijnie ruszyli w swą drogę, jakgdyby mówiąc: wszystko przechodzi... wszystko mija...

Elżbieta Aigner.

K. H. Rostworowski

o Konkursie Powieściowym I. K. C.

Z okazji swego 25-lecia rozpisał „Ilustrowany Kuryer Codzienny" jubileuszowy Konkurs Powieściowy, zapraszając do przewodnictwa Jury znakomitego dramaturga i prezesa krak. Związku Literatów, Karola Huberta Rostworowskiego, a na jego członków prof. U. J. dr. Stanisława Pigonia, krytyka literackiego Kazimierza Czachowskiego, prezesa Syndykatu Dziennikarzy Krak. dr. Józefa Flacha i redaktora I. K. C. Ludwika Szczepańskiego. Kierownictwo prac Jury konkursowego spoczywało w rękach redakotra I. K. C. Piotra Lota.

Pragnąc choć w skromnych ramach zapoznać Czytelników „Asa" z wynikami tej wyjątkowej, na olbrzymią skalę zakrojonej imprezy literackiej, zwróciliśmy się do przewodniczącego Jury konkursowego K. H Rostworowskiego z prośbą o wypowiedzenie kilku cennych uwag na ten dziś może najaktualniejszy temat artystyczny.

— Prosi mnie pan o wypowiedzenie swych uwag — rozpoczął rozmowę przewodniczący Jury. Jest to niełatwe zadanie, jeśli się zważy, jak bardzo każdy z nas literatów, czy dramatopisarzy nastawiony jest na pewną skalę, w której dopiero odzywa się najintenzywniej jego kamerton, t. zn., że reakcja powstaje w nas najsilniej wówczas, gdy krytykowana przez nas forma literacka znajdzie się w polu naszych najżywszych upodobań i zainteresowań. Inna, choć nieraz bardzo wartościowa, często nie potrafi wzbudzić w nas silniejszego echa swych walorów, a dzieje się to np. dlatego, że poprostu sam temat jest nam niesympatyczny. Nie znaczy to, by utwór naprawdę pierwszorzędny, z wybitnym talentem napisany mógł znaleźć się wśród tych, które rodzą w nas wątpliwości i powodują brak entuzjazmu. I choć w nim temat nam nie odpowiada, lub postacie bohaterów są nam niesympatyczne, jeśli całość przemawia do nas językiem wielkiego twórcy, wówczas nie możemy pozostać głusi na to wołanie z Olimpu.

— Mnie osobiście, podkreślam to z naciskiem: osobiście! — wzięły dwie rzeczy. Pierwsza z nich „Marcyna" Juljusza Kędziory nie znalazła w naszym gronie najmniejszego oporu w przyznaniu pierwszej nagrody. Niema w niej nic tak zw. literatury, niema papierowych ludzi. Od pierwszych zaraz ustępów bije niezwykła plastyka. Kompozycja bez zarzutu — to idzie, to rośnie. Czytając czuje się, że to pisał nie literat o chłopach, lecz poprostu chłop o swych najbliższych i w tem tkwi największa wartość utworu. Niespotykamy w „Marcynie" sygnetu czarnej ręki, owej sztucznej pychy ludu, a natomiast odnajdujemy w niej szczerą poezję wsi polskiej. Gwara, którą powieść jest napisana, może niejednemu nieodpowiadać. Nieumniejsza ona naturalnie w niczem wartości utworu. — Czy „Marcyna" jest arcydziełem? — to się dopiero okaże za lat 50. Każda rzecz musi się odleżeć. Niech pan niezapomina o Fredrze, czy tak modnym dopiero dziś Norwidzie.

— W „Kamienicy wielkiego miasta" Władysława Pawlaka odnalazłem te same walory, co w powieści Kędziory. Odrazu było dla mnie widocznem, że to pisał robotnik, a więc mózg niewyszlifowany literacko, co odzwierciedliło się w usterkach stylistycznych, ale wielki talent, który świetnie odmalował świat robotniczy. Twierdzę, że niema w naszej literaturze powieści z taką prostotą, szczerością, bezpośredniością, opisującej polskiego robotnika. Tylko ze względu na wspomniane usterki, dzieło to nie mogło uzyskać bliższej nagrody i zadowolić się musiało siódmą.

— Z konkursu jestem bardzo zadowolony. Dobrze się stało, iż nagrody przypadły nieznanym autorom. Ogólny poziom nie był niski. Na blisko 600 utworów znalazły się tylko dwa tematy sportowe, choć się ogólnie mówi, że wszystko dziś żyje pod znakiem sportu, ani jeden o podkładzie partyjnym (szufladkowanie ludzi), ani jeden szermujący ideami komunizmu, czy bezbożnictwem. Zaznaczył się raczej tradycjonalny sposób pisania, z małemi tylko skłonnościami do rewolucjonizmu formy literackiej.

J. L.

Znakomity dramatury K. H. Rostworowski, przewodniczył jury w Konkursie Powieściowym I. K. C.



Laureaci Konkursu Powieściowego „I. K. C." z redaktorem naczelnym i wydawcą Marjanem Dąbrowskim: (od lewej): Pp. Antoni Dębczyński, Gustaw Morcinek, Anna Borowikowa, Juljusz Kędziora, red. Marjan Dąbrowski, Edwin Jędrkiewicz, Władysław Pawlak, Tadeusz Kudliński, Julja Rylska i Eugenjusz Gołębiowski.



ANTONI ★ MARCZYŃSKI

Klub wytwornych zbrodniarek

NOWELA

Spojrzał na zegarek, stwierdził, że ma jeszcze godzinę czasu. Ponieważ przejrzał już dzienniki, przyniesione mu przez kelnera, zaczął z nudów rozglądać się po sali. Kawiarnia była prawie pusta narazie i pan Szczęsny Częstogolski nie znalazł żadnej twarzy niewieściej, godnej jego zabójczych spojrzeń.

— Same stare pudła, jak w naszej dziurze — mruczał bardzo niezadowolony, gdyż inaczej wyobrażał sobie Warszawę.

Wtem, jakby dla zaprzeczenia tej opinji weszły trzy młode damy, jedna piękniejsza od drugiej, wystrojone pierwszorzędnie i na kilometr pachnące doskonałemi perfumami. Usta w kształcie serduszek miały szkarłatne, a rzęsy niesamowicie długie, czarne i równiutko najeżone, niby wachlarze z drucików.

— Trochę tam farby na nich jest, ale pozatem jedna w drugą skończona piękność... tam i napowrót... — orzekł w duchu.

Na powitanie przybyłych pań zerwał się jakiś młodzieniec, wyglądający na krajowego beduina, przywitał się z niemi i chciał je zaprosić do swojego stolika, lecz zaczęły grymasić.

— Tu byłybyśmy throchę nadto pod obsehrwacją, phrawda? — rzekła szatynka, wysilając się na to, aby każde „r„ było troskliwie zawinięte w „h".

— Masz rację, kochanie — zadźwięczał sopranik blondynki — wolałabym, aby wogóle nikt nas nie zauważył.

— Chodźmy na werandę — zadecydowała brunetka, a wypowiedziała te proste słowa tak demoniczno-wampirycznym altem, że pana Szczęsnego ciarki przeszły... „tam i napowrót", według jego ulubionego powiedzonka.

Nie namyślał się długo. Zaledwie damy wraz z swoim towarzyszem wyszły z głównej sali, przesiadł się do narożnego stolika, oddzielonego od werandy tylko jakby żywopłotem z pokojowych palm. Przez szparki w tej zielonej ścianie pan Szczęsny mógł patrzeć na trzy boginie, ale też chcąc nie chcąc, musiał słyszeć, o czem rozmawiają. Mówił narazie ich towarzysz, potrząsając swym postrzępionym notesem:

— ...wszystko powiem, ale najpierw chcę uzupełnić oryginalną statystykę. Czy każda z pań wynotowała sobie to, o co prosiłem?

— Poco notować, znam swoją przeszłość napamięć — zaszczebiotała blondynka, a pan Szczęsny pomyślał z rozczuleniem, że przeszłość takiej dzieweczki o chabrowych oczętach musi być czysta, jak „wyborowa".

— Więc zaczynamy. — Młodzieniec otworzył notes. — Ile która z pań miała mężów?

— Ja ośmiu — odparł alt.

— Ja throchę mniej obo cztehrech, zato kochanków...

— O tem będzie mowa za chwilę — wtrącił właściciel notesu. — A pani jak stoi z mężami? — zwrócił się do blondynki.

Pan Szczęsny miał ochotę trzasnąć go w papę za to pytanie. Jak można. Że tamte dwie są wielokrotnemi rozwódkami, to nie powód jeszcze, by o coś podobnego podejrzewać takie dziewczątko. Aliści dziewczątko rzekło:

— Sęk w tem, że nie jestem pewna, czy pięciu, czy sześciu.

— A kochanków?

— Tylko dziewięciu.

— Ja czternastu! — pochwalił się alt.

— Bardzo zabawne, bo ja też czternastu.

Pan Szczęsny wypił duszkiem szklankę wody, by nie zemdleć.

— Sodoma! Gomora! — powtarzał, ale jeszcze patrzał na blondynkę takim wzrokiem, jakby gotów był własną osobą zaokrąglić cyfrę jej męż....

— Przechodzę do rubryki „potomstwo" — oznajmił młodzieniec.

— Czy liczymy dzieci nieślubne także? — spytała demoniczna.

— Oczywiście. Sztuka w sztukę. Więc ile pani miała?

— Z nieślubnemi dziewięcioro.

— Ja pięcioro.

— Jak tylko troje — westchnęła blondynka.

— Mało, jak na sześciu mężów i tylu kochanków. No, ale do rzeczy, do rzeczy — młodzieniec upominał się sam. — Teraz zanotujemy, co każda z drogich pań ma na sumieniu. Zacznijmy od zabójstw i morderstw.

— Thrupy, thrupy, okropnie to lubię. Ja zabiłam czwohro ludzi.

— Eeet, to nic — zawibrował alt — ja półtora tuzina!

— Znowu jestem na szarym końcu — skarżyła się blondynka. — Ja zabiłam własnoręcznie tylko trzech mężczyzn, ale w tem dwóch swoich mężów. To mi się powinno liczyć podwójnie!

— O, przepraszam. Skohro tak, to ja zabiłam rhodziców...

Pan Szczęsny nie słuchał dłużej. Jak szalony wybiegł z kawiarni i po chwili wrócił tu z dwoma policjantami, niemniej od niego podnieconemi, a widok wkraczającej policji zkolei zelektryzował personel kawiarni i publiczność, już dość liczną obecnie. Cała procesja ludzi pospieszyła na werandę, gdzie pan Szczęsny Częstogolski dyskretnie wskazał podejrzane towarzystwo i wyraził swą obawę, czy dwóch policjantów sprosta czwórce tak rutynowanych przestępców.

— Bądź pan spokojny — zapewnił go barczysty przodownik — z pustemi rękami stąd nie odejdę!

Rzekłszy to, pomaszerował w stronę pięknych dam i stanął, jak wryty. Sądząc, że policjanta stropił świetny wygląd tych elegantek, pan Szczęsny jeszcze raz powtórzył swoje straszliwe oskarżenie, rycząc na całe gardło i wskazując odnośne winowajczynie:

— To niby niewiniątko zgładziło dwóch swoich mężów! A ta sadystka specjalizowała się w mordowaniu krewnych wstępnych pierwszego stopnia, vel rodziców! Ta zaś, najgorsza, ta czarna, panie posterunkowy, liczy swoje ofiary na tuziny! I przechwalają się jeszcze cynicznie... tam i napowrót... zbrodniarki!

— Ależ panie — odezwał się posterunkowy — to są sławne artystki filmowe; nawet ja, choć rzadko chodzę do kina, znam je dobrze.

— Zato my nie znamy tego gbura — zahuczał alt vampa.

— On nas obraził śmiehrtelnie!

— Proszę go natychmiast powiesić i wylegitymować — dodała czarująca blondynka, a wszystkie trzy z oburzenia jęły poruszać olbrzymiemi rzęsami tak szybko, że wszystkie bibułkowe serwetki sfrunęły ze stolików i firanki w oknach zaczęły falować, jak przy silnym wichrze. — Proszę go powiesić!

— Może ja przedtem wyjaśnię nieporozumienie, jakie tu zaszło. Jestem reporterem tygodnika „Wszyscy jesteśmy fotogeniczni" — przedstawił się młodzieniec, towarzyszący gwiazdom filmowym. — Dla rozrywki naszych czytelników robię statystykę, ile która z artystek miała mężów, kochanków, dzieci i trupów na sumieniu, ale oczywiście tylko na płótnie.

— Na płótnie, czy na twardej ziemi, to jedno — ryknął Szczęsny.

— Mówiąc „płótno", miałem na myśli ekran. Nie chodzi o jakieś rzeczywiste zbrodnie, czy rekordy rozwodowe, tylko o te z filmów. Naprzykład, ile razy wypadło której z pań grać rolę żony, ile matki i tak dalej...

Przodownik przeprosił artystki i skierował się ku drzwiom. Ale dotrzymał słowa, nie odszedł z pustemi rękami. Obie miał zajęte, ciągnąc oburącz na komisarjat pana Szczęsnego.

ZADUMA RYBACKIEJ PRZYSTANI...
PRESSE PHOTO — BERLIN.



Przebój „Wesołej fali poznańskiej"

Pani Joannie Poraskiej dedykowane

OCHOTA, CZY TĘSKNOTA?

Slowfox-piosenka

Słowa: JERZEGO GERŻABKA   Muzyka: KLEMENSA WABERSKIEGO



KAPITAN „FAI-TSI-LONGU"

Napisał H. WILDE POWIEŚĆ Tłum. JULJA RYLSKA

ILUSTR. AL. ŻMUDA

Jeżeli badamy, jaka jest zasadnicza cecha namiętności i jej charakterystyczne znamiona, w całokształcie życia uczuciowego — to, aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy przedewszystkiem odróżnić ją — z jednej strony od afektu — a z drugiej — od szaleństwa — bo namiętność stoi w połowie drogi między jednem a drugiem.

Ribot: „Psychologja uczuć".

I.

Ktoś uderzył mnie po ramieniu. Odwróciłem się i ujrzałem Rancégo, zastępcę kapitana statku.

Wskazał ręką na modrą przestrzeń przed nami, okoloną górami w oddali.

— Spogląda pan na wybrzeże Fo-Kien?

Opuściłem lornetę i, idąc za memi myślami, odrzekłem:

— Uderzył mnie właśnie kontrast między tem skalistem, bogato rozwiniętem wybrzeżem — a płaskiemi, monotonnemi brzegami Chin północnych. Formacja geologiczna tłumaczyłaby tu...

— Ślicznie! — przerwał mi. — Rozwinie pan kiedyindziej te uczone teorje przede mną. Narazie niech pan zwróci uwagę na coś innego...

Zauważyłem niezwykłe wzruszenie w jego głosie. Przypatrzyłem mu się uważnie.

— Mówiłem już panu, żeby się pan dobrze przypatrzył jednej z pasażerek, tej, którą zabraliśmy w Szanghaju...

— Tak jest — żonie konsula generalnego.

Rancé polecił rzeczywiście, jeszcze przedwczoraj, damę tę mojej uwadze. Od tego czasu jednak nie wspomniał więcej o niej — nie powiedział, dlaczego zależy mu właśnie na niej. Pomyślałem, że ta, bardzo ładna, osoba — jak wiele zresztą innych pań na okręcie — cieszyła się pewnie reputacją, iż łaskami swemi obdarza wielu wybranych — przyczem, widocznie, nie musiała przestrzegać należytej dyskrecji... „Nie byłoby w tem nic oryginalnego" — skonstatowałem — i nie myślałem o niej więcej.

— Właśnie nadchodzi — rzekł teraz cicho Rancé. — Niech się jej pan przypatrzy.

Rzeczywiście piękna pani konsulowa, zbliżyła się ku nam w towarzystwie drugiej pasażerki. Szła wolno, zażywając przechadzki rannej po pokładzie. Miała, co się zowie, piękną postawę. Kilkakrotnie już widziałem ją przelotnie w jadalni i w salonie; podziwiałem jej profil, bardzo regularny, o prostym, pięknym nosie, wspaniałe czarne oczy, wilgotne i błyszczące — i włosy, najwidoczniej naturalnej, ciemnej barwy, bo na skrętach świecące rudawem złotem. Wydało mi się, że miała w obejściu dużo spokoju i prostoty. To samo wrażenie zrobiła na mnie i teraz. Strój jej — zawsze bardzo elegancki — miał jednak trochę surowy charakter. Całość nie bardzo zgadzała się dla mnie z tem, co nazywamy „wesoła kobietka" — żeby nie powiedzieć inaczej...

— Bardzo jest przystojna — rzekłem. — Konsul generalny, nie najgorszą obrał cząstkę... Ta kobieta, jest w pełnym rozkwicie swej piękności. Ciekawym, ile też może mieć lat?

Rancé obliczył szybko w myśli:

— Dokładnie 33.

Obie przechadzające się panie przeszły właśnie koło nas. Rancé oglądnął się i pogonił za niemi upartem, głębokiem spojrzeniem. Zdawało mi się, że zobaczyłem w tem spojrzeniu coś, jakby nienawiść... Zaciekawiło mnie to, bo Rancé, którego znałem dobrze, wydawał mi się człowiekiem prawym i dobrym — niezdolnym do obmowy i złośliwości.

— Czemu przedwczoraj jeszcze, kazał mi pan obserwować tę panią? I miał pan taką... wiele mówiącą minę, przytem? Osoba ta, wydaje mi się bardzo spokojną — i przyzwoitą w zachowaniu. Kiedy mówię „przyzwoitą", rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć...

— O — odparł z ironją — rzeczywiście nie da się nic powiedzieć na nią pod tym względem! I właśnie to jej „przyzwoite zachowanie"...

Zaśmiał się dziwnie i ciągnął dalej:

— Zresztą, „przyzwoite zachowanie", to niewiele jeszcze znaczy. Widziałem kobiety, o twarzach Madonn... a przecież... Do krocset!

— Tak — rzekłem — cicha woda... Przysłowie to, choć tak często używane — i nadużywane — nie straciło nic ze swej prawdy. Ale, mój drogi, co pan zarzuca tej kobiecie?

Chwycił mnie za ramię:

— Niech pan patrzy, jak czysto widać w tej chwili wybrzeże Fo-Kien!

O jakieś 20 mil na sterburcie wznosiło się sine wybrzeże — wysokie i strome — popstrzone płatami cienia w zagłębieniach zatok — pełne przylądków skalistych, wydłużających się w poszarpane linje i ciągnących się w morze skał. Na bakburcie zaś ścieliło się morze, aż ku Pescadorom i Formozie, których zarysy nie przebijały nawet na horyzoncie poprzez zwały mgły.

— Tak, bardzo czysto widać Fo-Kien. — Ale, rozmowa nasza ma naprawdę trochę urywany charakter... Błagam, niech mi pan wyjawi wreszcie, jaki istnieje związek między żoną konsula generalnego z Szanghaju o „przyzwoitem" zachowaniu — wybrzeżem Fo-Kien — oraz czystością, z jaką przedstawia się nam ono w tej chwili?

Rancé puścił moje ramię.

— Czystość, z jaką się nam przedstawia — pyta pan? — O, to nie ma prawie żadnego znaczenia — prawie żadnego... Choćbyśmy płynęli w takiem mleku, że nie widzielibyśmy sygnałów świetlnych na własnym okręcie, wtedy nawet kobieta ta powinnaby wiedzieć, na jakich wodach płyniemy! — Ale niech pan patrzy na nią — bo wracają ku nam. — Widzi pan? — Nic! — Ani jednego spojrzenia w tę stronę! — i wskazał ku wybrzeżom chińskim. — A przecież ona wie, że niedługo przepłyniemy wzdłuż Swatowa — dodał po chwili.

Tymczasem obie panie usiadły nieco dalej na ławce, zwrócone twarzami ku wybrzeżu. Rancé odezwał się nagle, prawie, że uroczyście.

— Proszę, niech mi pan powie, czy dostrzega pan najlżejszy choćby ślad wzruszenia na jej twarzy?

Powiedzałem mu, że nie spostrzegłem nic podobnego na twarzy pani Vernod. Ostatnio żona konsula generalnego, rozmawiała najspokojniej ze swą towarzyszką.

— Nigdy jej pan nie spotkał dotąd? — zapytał Rancé.

— Nie. — Nigdy nie zatrzymywałem się dłużej w Szanghaju.

W tej chwili zabrzmiał śmiech, niezmiernie naturalny i wdzięczny. To pani Vernod, pochylona ku towarzyszce, zaśmiała się tak. Rancé zacisnął kurczowo pięść na poręczy i pochylając ku mnie wysoką swą postać, począł szeptać namiętnie:

— Tu — tu — tuż przed Swatowem — ta kobieta się śmieje!! — Była więc w stanie zapomnieć... Pan nie wie — bo gdyby pan wiedział, krew zagotowałaby się w panu — tak jak we mnie w tej chwili! — Ani cienia smutku — w tych oczach — ani śladu wzruszenia w głosie — i śmieje się! — Niezdolna nawet do tej jałmużny wspomnienia....

Pokiwał ze smutkiem głową.

— A przecież powinna na kolanach czołgać się tu! — zaczął znowu. — Od przedwczoraj, przeszedłem koło niej umyślnie kilka razy. Nie poznała mnie. Bo, że nie udawała — tego jestem pewny! Zapomniała... Poprostu zapomniała o wszystkiem!

Głos jego zdawał się gubić gdzieś w odległej przeszłości.

— To straszne! — wzdrygnął się.

— Czy pan ma coś do zarzucenia tej pani?... — zacząłem i zawahałem się. — Coś... co się tyczy osobiście pana... jakaś zdrada... z jej strony? — Proszę darować moją niedyskrecję, ale widzę, że jest pan tak poruszony... I mówi pan takie rzeczy... Poniekąd usprawiedliwia to moją niedyskrecję...

Rancé odwrócił się. Chwilę wpatrywał się w panią Vernod, poczem zwrócił oczy w morską dal. Staliśmy tak obaj, oparci o reling — pod nami woda z szelestem ocierała się o żelazne boki okrętu i płyciutkie fale wydawały słaby chlupot. Czekałem, aż towarzysz mój przerwie pierwszy milczenie.

— Tak — śmiała się tu, koło Swatow!

Pokiwał głową i po chwili zaczął mówić:

— Zdrada względem mnie — rozumiem, co pan przypuszcza. Nie, — nic podobnego. I nic, co dotyczyłoby mnie osobiście... A właściwie tak — ostatecznie przecież to jest chyba osobiste... Była sprawczynią wielkiego nieszczęścia — a ja cierpiałem wskutek niego... O, ta kobieta napełnia mnie zgrozą!

Rzuciłem mimowoli okiem w stronę przedmiotu tej zgrozy i nienawiści. Kobieta, o której Rancé mówił tak straszne rzeczy, rozmawiała dalej przyciszonym głosem z towarzyszką, bawiąc się machinalnie długim naszyjnikiem z żadu, który wąską linją odcinał się na jej szyi i na bieli jej sukni. Spokój i słodycz, malujące się na jej twarzy, nie pozwalały wprost wierzyć, że ktoś mógł żywić względem tej kobiety uczucia, które tak dobitnie pod adresem jej okazywał zastępca kapitana „Portosa".

— Musi mi pan powiedzieć wyraźnie, co to wszystko znaczy — rzekłem.

— Właśnie chcę to uczynić — odparł. — Bo widzi pan, gdybym ją był ujrzał inną... Zdawało mi się — spodziewałem się, że odkryję w niej jakiś żal, wyrzut sumienia... Nie widziałem jej od tego czasu, kiedy się stało to — to wielkie nieszczęście, o którem chcę opowiedzieć panu. — Ale nie zobaczyłem w niej nic! — Ptasi mózg! — Wspomnienie u niej jest jak odrobina tej piany na grzbiecie fali. I to nawet nie! — Z tego wszystkiego, czego ta kobieta była powodem, pozostało w niej akurat tyle, co za chwilę pozostanie na wodzie z kształtu tej fali, która spiętrza się oto przed nami! Jak już powiedziałem, nie spotkałem jej ani razu od tego czasu i widok jej wyprowadził mnie z równowagi...

Spojrzał nagle na zegarek.

— Czwarta dochodzi. Mam służbę. Między 5 i 6 będę miał godzinę wolną. Opowiem panu, a jeśli nie skończę, zobaczymy się w nocy. Do tego czasu, niech ją pan jeszcze obserwuje.

— Dokądże ona jedzie?

— Do Francji. Z mężem. Mają bilety do Marsylji.

Patrzyłem na wysoką postać oddalającego się Rancégo, póki nie zniknął mi na schodach, wiodących na niższe pokłady.

II.

Miałem dużo sympatji dla zastępcy kapitana „Portosa". Poznałem go dwa lata temu, kiedy na tym samym okręcie jechałem z Japonji do Marsylji. Na statku, przez czterdzieści dni morskiej podróży, ludzie zbliżają się do siebie bardzo. Można poznać nawylot swego bliźniego. Rancé zainteresował mnie. Jako wykształcenie posiadał tylko szkołę powszechną. Ale był to marynarz inteligentny i doskonale obznajomiony ze swym zawodem. Naobijał się dość po różnych morzach i porobił ciekawe spostrzeżenia, tyczące się szlaków, jakiemi ludzkość wędruje po szerokim świecie — i o osobnikach, których spotyka się na tych szlakach. Z pozoru trochę szorstki i zimny — po bliższem poznaniu widziało się dopiero, że był to człowiek dobry i równy w obejściu.

Zeszłego roku spotkałem go po raz drugi — znowu wracając z Dalekiego Wschodu. Rancé okazywał zawsze duże zaciekawienie dla kwestyj naukowych, lubiał stawiać mi pytania z najrozmaitszych dziedzin. W czasie tej drugiej podróży zaprzyjaźniliśmy się z sobą bardzo. Teraz znowu, w 10 miesięcy po owej ostatniej podróży, przypadek zrządził, że jadąc z Nagasaki do Cantonu, trafiłem znowu na ten sam statek — i na Rancégo, który radośnie powitał mnie na nim.

(CIĄG DALSZY NASTĄPI).



Patrzyłem na wysoką postać oddalającego się Rancégo...

ŁAMIGŁÓWKI MODY MĘSKIEJ

Kiedy można ubrać letnie getry?

Pytanie to ma zasadnicze znaczenie zarówno dla tych, którzy interesują się modą z praktycznego punktu widzenia, jak i dla całej rzeszy gentlemanów, przestrzegających pewnych form w nienaganności swego stroju.

Jeśli nawet letnie getry utraciły swą dawną popularność jako dopełnienie specyficznej elegancji i ochrona przed kurzem przy półbucikach, to w każdym razie nie stało się to dlatego, że były noszone przez „niepowołanych" do ubrań, które nie znosiły takiego pendent. Powód tkwił przedewszystkiem w zmianie ogólnego nastawienia do mody, w ustaleniu się przeświadczenia o konieczności zrezygnowania ze śmielszych akcentów na rzecz silnego stonowania wyglądu stroju męskiego jako całości.

Dziś, gdy te akcenty powracają w formie wzorzystych krawatów i bielizny o żywszych kolorach, zjawiają się wśród nich i getry jako uzupełnienie specjalnego rodzaju marynarki letniej. By zrozumieć, na czem polegało osławione nieporozumienie, w wyniku którego „pan w getrach" nazywany był gogusiem, musimy się zapoznać z rodzajami stroju, wykluczającemi równoczesne używanie getrów. W pierwszym rzędzie dotyczy to wszystkich kombinacyj z flanelowymi spodniami, noszonemi na pasku, następnie ubrań bez kamizelki, kolorowej bielizny o ciemnym tle i kapeluszy o charakterze sportowym. W ubraniach które akcentują ten sam charaktar bodaj w samej marynarce za pomocą np. kieszeni nakładanych, noszenie getrów jest tylko wówczas możliwe, jeśli wykluczymy długie spodnie.



Poniżej: Płócienne getry nadają się najlepiej do dwurzędowej popielatej marynarki, białej koszuli i popielatego, filcowego kapelusza...



Ubranie o charakterze sportowym, używane przez nas w podróży, może być wyjątkowo uzupełnione — nawet przy czapce i koszuli o żywych kolorach — płóciennemi getrami...

Najodpowiedniejszą całością dla getrów będzie zawsze dwurzędówka, biała koszula, ciemny krawat i kapelusz jedwabiem paspolowany (modny obecnie fason „Eden"), a materjałem, z którego się je wyrabia, pozostanie popielata, lub kremowa grubo tkana panama płócienna (kolor biały jest movais genre).

Brummell.





Na lewo:

UWAGA! BŁĘDY!

Nie na miejscu jest używanie letnich getrów do:

1. ubrań, noszonych bez kamizelki i spodni z paskiem.
2. wszystkich marynarek, kombinowanych z flanelowemi spodniami.
3. ubrań o charakterze sportowym (od nakładanych kieszeń począwszy.)
4. kolorowych, miękkich koszul (ciemne tło).



Rękawiczka szydełkowa z manszetem o wzorze stylizowanych liści.

Rękawiczka jest znowu nieodzowną częścią garderoby. To też pani musi mieć ich duży wybór, aby dostosować inne do każdej okoliczności czy sukienki. Do letnich sukienek bardzo praktycznemi okazały się rękawiczki szydełkowe. Nie są one drogie, ale i ten wydatek można zmniejszyć, wykonując samej takie rękawiczki. Oto przygotowujemy się do wyjazdów na ferje letnie. Mając więcej czasu, spędzamy go często po pensjonatach w gronie znajomych, zajmując się pożytecznemi robótkami ręcznemi. Powstają wtedy szaliki, pelerynki i inne drobiazgi, które panie wykonują, idąc w zawody o szybkość ukończenia. A przecież te szydełkowe rękawiczki przydadzą się odrazu do letnich sukienek na letnisku.

Podamy opis nieskomplikowanego wzoru na szydełkowe rękawiczki, wykonane tylko łańcuszkiem, słupkami niskiemi i raz nawijanemi. Zaczynamy od rękawiczki na prawą rękę.

Z cieniutkiego kordonku robimy łańcuszek na 104 oczka. Łączymy go i wykonujemy na nim 52 dziurki, z nawijanych słupków, wbijanych w każde drugie oczko łańczuszka. Po zrobieniu pierwszego rzędu dziurek nie zamykamy rzędu w jedną całość, lecz szydełkujemy dziurki w dalszym ciągu niby ślimacznicę. Słupki nie są wbijane w oczko poprzedniego rzedu, lecz obejmują go luźnie. Robimy w ten sposób trzy rzędy, które stanowią część rękawiczki w przegubie ręki. Aby rękawiczkę rozszerzać, dla nadania jej kształtu dłoni, będziemy dodawać jedną dziurkę w każdym rzędzie, robiąc dwa słupki z oczkiem powietrznem w jednej dziurce, zaczynając od pierwszej dziurki czwartego rzędu i dodając je zawsze w tem samem miejscu ponad sobą. Tak szydełkujemy 15 rzędów. Zobaczymy, jak rękawiczka przybiera pożądany kształt.

Na zakończenie 15 rzędu, wykonujemy jeszcze ostatni raz dodaną dziurkę ponad ich skośnym szeregiem. Od tego punktu rozpoczynamy robotę palca wielkiego naszej rękawiczki. W tym celu szydełkujemy 12 oczek łańcuszka, poczem łączymy go z rękawiczką, zapomocą raz nawijanego słupka, tworząc obwód, gdyż słupek ten zahaczamy o 15-tą dziurkę zrobionego poprzednio rzędu dziurek, licząc wstecz. Od tego słupka rozpoczynami dalsze rzędy dziurek na duży palec. Po zrobieniu 14 dziurek wchodzimy na zrobiony dziurek takich samych, jakiemi wykonałyśmy dłoń rękawiczki.

Palec jest już na ukończeniu. Zarabiamy go w ten sposób, że po zakończeniu 13-go rzędu ślimacznicy, nie szydełkujemy oczka pomiędzy słupkami, ale wykonujemy rząd ścisłych słupków raz nawijanych, następnie rząd półsłupków, przyczem ujmujemy, wbijając szydełko w tło co drugie oczko. Tak ślimak zostaje zamknięty. Nitkę oczka wydłużamy, oczko rozcinamy i igłą zakańczamy niewidocznie koniec nitki.

Powracamy teraz do dolnego brzegu dużego palca, od strony jego wykonywanej na łańcuszku (ilustracja 1-sza). Po przygięciu palca na zewnątrz rękawiczki, ten brzeg palca łączy się z obwodem dłoni w jedną całość, którą teraz będziemy w dalszym ciągu zarabiać tłem z dziurek od prawej do lewej strony. W tym celu uwiążemy nową nitkę w drugiej dziurce, wykonanej na łańcuszku palca, licząc od punktu wyjściowego łańcuszka. Pierwsza dziurka powstaje, gdy zrobimy słupek, obejmujący pierwszą dziurkę na omawianym łańcuszku palca, druga obejmuje dawny boczny słupek ostatniej dziurki tła dłoni rękawiczki z rzędu 15-go, zakończonego dodaną dziurką nad ich skośnym szeregiem. Następnie robimy dziurki wokoło, znów ślimacznicą, rzędów 11-cie, licząc od zakończenia dużego palca, mając 60 dziurek w obwodzie.

Pozostają do zrobienia cztery palce. Aby dobrze rozmieścić je, trzeba sobie znaczyć punkty wyjścia każdego nowego rzędu, licząc od zawiązania nitki po zrobieniu dużego palca. Dalszą wazną czynnością jest w tem stadjum roboty oznaczenie zewnętrznych brzegów rękawiczki, też dla lepszego zorjentowania się, gdzie wypaść mają palce.

Układamy zrobioną rękawiczkę w ten sposób, aby linja skośna dodawanych dziurek zaczynała się od środka rękawiczki. W tem położeniu oznaczamy kolorową nitką zewnętrzne brzegi rękawiczki.

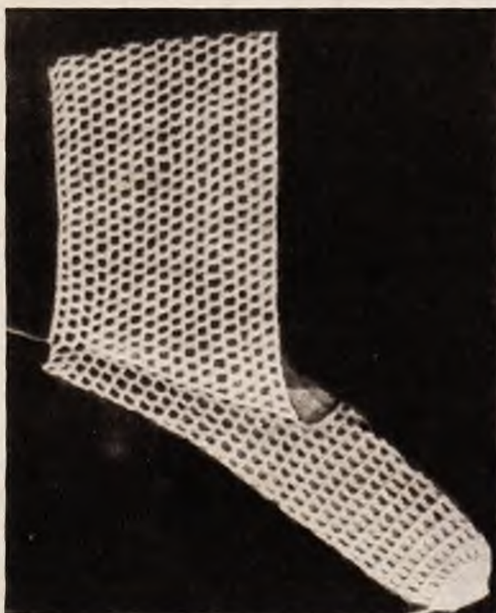
Wracamy do dalszego kontynuowania dziurek na rząd 12-ty. Doszedłszy do oznaczonego nitką brzegu rękawiczki, robimy jeszcze 7 dziurek ,potem 8 oczek łańcuszka w powietrzu, który kończymy słupkiem, wbitym w 15-tą dziurkę tła, licząc wstecz. W ten sposób rozpoczyna się robota małego palca. Mamy po obu stronach po 7 dziurek, jedną na zgięciu, czyli razem dziurek 15-cie, o których wyliczenie właśnie w tej chwili chodziło. Sposobem podobnym do roboty dużego palca, wykonujemy 16 rzędów ślimacznicy, dość niewygodnej w robocie dla małego palca jej obwodu 19-tu dziurek. Rząd 17-ty jest już złożony tylko ze słupków raz nawijanych, następny z półsłupków ujmowanych i tak dochodzimy do zakończenia palca.

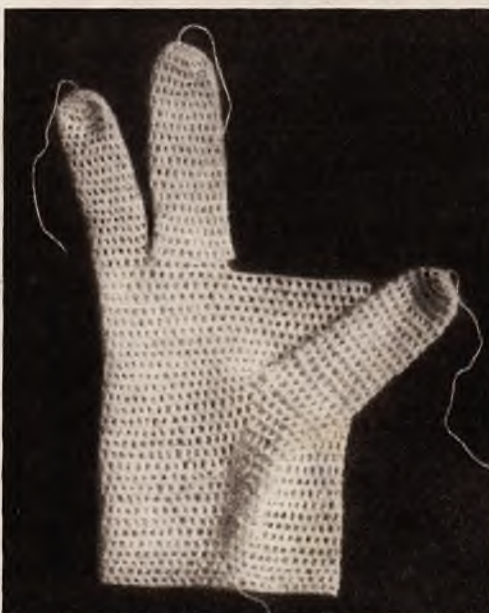
Teraz robimy palec „serdeczny". W punkcie, gdzie znajduje się pierwsza dziurka na obwodzie małego palca, zrobiona na początku łańcuszka, wiążemy nitkę po zewnętrznej stronie dłoni. Pierwsza dziurka, którą teraz robimy zahacza słupkiem o bok słupka ostatniego z tła rękawiczki, od którego zaczynając łańcuszek, zrobiłyśmy mały palec. Druga dziurka zahacza o tło i tak robimy 7 dziurek, 6 oczek łańcuszka i dalszych 7 dziurek, łączonych z tłem dłoni, 8-ma zahacza już o brzeg małego palca i tak otrzymujemy '22 dziurki obwodu. Na nich robimy jak poprzednio ślimacznicę na 20 rzędów. Następny jest złożony już tylko ze słupków, bez rozdzielania ich pojedynczemi oczkami, poczem idą półsłupki ujmowane aż do zakończenia palca.

Palec środkowy zaczynamy jak i poprzednie od zewnątrz dłoni. Po 7-miu dziurkach, łańcuszek na 8 oczek, dalszych 8 dziurek tła, zejście na połączenie z poprzednim palcem i uzyskanych 23 dziurek w obwodzie robimy przez 22 rzędy, zakańczając słupkami skupionemi i półsłupkami z odejmowaniem.

Pozostał jeszcze palec wskazujący. Przywiązujemy nitkę jak poprzednio od zewnątrz dłoni i robimy w obwodzie 22 dziurki przez 20

(Dokończenie na str. 31-ej).







Od lewej: Pierwsze stadjum szydełkowania rękawiczki: część dłoni i duży palec. — Po zrobieniu dużego palca rękawiczki, wyszydełkowane jedenaście rzędów tła oraz palec mały i serdeczny. — Jak powstaje manszet rękawiczki.

Ż ★ Y ★ C ★ I ★ E

towarzyskie i artystyczne

„GARDEN-PARTY" W KRÓLIKARNI

W posiadłości Marty hr. Krasińskiej zebrała się ostatnio elita towarzyska i artystyczna na wytwornej „Garden-Party" odbytej pod hasłem. „Wiosenna sielanka". Przyjęcie zorganizowane zostało przez stow. artystów plastyków „Blok". Wspaniałe otoczenie i piękne kostjumy pań nadały przyjęciu stylowy charakter. Wyróżniały się kostjumy à la Watteau: p.Elektorowiczówny, art.-mal. Mary Schneiderowej, jak również stroje osnute na wzorach malarstwa angielskiego XVIII w.: pp. art.-mal. Jadwigi Tereszczenkowej i art.-mal. Niny Herget. — Na zdjęciu prezydent m. Warszawy, Stefan Starzyński w otoczeniu pań w stylowych kostjumach.

SUKCESY BERLIŃSKIE PAWŁA PROKOPIENI



KULTURA SCENICZNA NA KRESACH



DWIE GWIAZDY NA EKRANIE



Teatr podolsko-pokucki im. Moniuszki w Stanisławowie, stanowiący ważną placówkę kulturalną polską, wystawił ostatnio bardzo starannie sztukę Fodora „Matura" z młodą, zdolną artystką p. Baronówną w roli głównej.

Ostatnio odbyła się w Krakowie na rzecz Syndykatu Dziennikarzy krak. premjera głośnego filmu produkcji austrjacko-włoskiej „Nie zapomnij o mnie" ze znakomitym tenorem Benjamino Gigli i uroczą Magda Schneider (na zdjęciu).

Znany baryton Paweł Prokopieni, który poprzednio występował z licznemi koncertami w Rzymie i in. miastach włoskich, zyskał ostatnio w Berlinie, gdzie wykonał liczne arje i pieśni polskie i włoskie, uznanie krytyki.



Urocza Harriet Hilliard cieszy się wielką sympatją u radjosłuchaczy w U. S. A.



3 królowe eteru



Na prawo: Helen Marshall, znana sopranistka amerykańskiego radja.

Jak wiadomo, każde miasto amerykańskie wybiera rokrocznie królowę piękności. Dotychczas jedynie radjo amerykańskie, w którem występują liczne piękne śpiewaczki, urządzało tylko nieregularnie takie imprezy. P. Nils Granlund, cieszący się w królestwie kobiecej urody bezapelacyjnym autorytetem i tam wprowadził ten zwyczaj, postanawiając, że najpiękniejsza śpiewaczka radja Stanów Zjednoczonych odznaczona zostanie tytułem „Miss Radjo" i podjął się wyboru takiej piękności na rok 1936.

Nie jest jednak rzeczą łatwą zdobyć ten tytuł, gdyż wymagania Radja są bardzo liczne i bardzo wysokie. Musi ona posiadać przedewszystkiem nietylko ładny, ale też miły głos, o metalicznem timbre, któryby radjosłuchaczy wprowadzał w dobry nastrój. Musi ona też być przystojną, a nawet piękną, posiadać dobrą figurę, to też znów śpiewaczka, nie posiadająca korzystnej zewnętrznej aparycji, nie może kompetować o tytuł Miss Radjo. Ułożenie całej imprezy napotkało na pewien szkopuł: Jak można bowiem wybrać królowę piękności, skoro o tytuł ten kompetuje kilka równie pięknych kobiet, odznaczających się różnorodnemi typami? Zadanie Granlunda było doprawdy trudne, ale wywiązał się z niego tak szczęśliwie, że zadowolnił wszystkich radjosłuchaczy, posiadających w tej sprawie różne poglądy. Trzy piękności zostały odznaczone tytułem Miss Radjo-1936, nie można było bowiem żadnej z nich odrzucić. Wszystkie trzy są piękne, posiadają nadwyraz miłe głosy i cieszą się sympatją słuchaczy.

Zgodnie z zdaniem Nils Granlunda pierwsza z nagrodzonych miss Dorothy Lamour personifikuje klasyczną urodę, tak bardzo poszukiwaną w Hollywoodzie. Jest ona słusznego wzrostu, dobrze zbudowana, o jasnych, niebieskich oczach i czarnych włosach, — kombinacja nadwyraz urocza. W dodatku posiada ona piękny grecki nosek, bardzo regularne rysy i pięknie sklepione czoło. Ci wszyscy, którzy jej słuchają przez radjo, nie wiedzą wcale, że miss Dorothy trzy lata temu była biedną modelką, pozującą malarzom, robiącym reklamy. — Pewnego razu miała pozować do reklamy fotograficznej dla pewnej fabryki gramofonów. — Afisz miał ją przedstawiać przysłuchującą się grze gramofonu, przyczem uroczy uśmiech zawodolenia okraszał jej twarz. Dorothy wywiązała się ze swego zadania jak najlepiej, uśmiechała się uroczo, zupełnie pochłonięta swoją rolą. W chwili, gdy fotograf przygotowywał swój aparat, Dorothy, zapominając, gdzie się znajduje, poczęła nucić usłyszaną codopiero melodję. Fotograf, znający się dosyć na muzyce, przysłuchiwał się ze zdziwieniem i przekonawszy się o zdolnościach modelki, obstawał przy tem, aby udała się do radja z propozycją audycji muzycznej. Pierwszy jej występ przed mikrofonem uczynił ją sławną na całą Amerykę, to też obecnie należy ona do najbardziej znanych śpiewaczek radjowych, a jej wygląd zewnętrzny zyskał jej również „królestwo" piękności.

Inną zupełnie urodą jest Helena Marshall. Jest to typ energicznej współczesnej dziewczyny, wysportowanej i nadwyraz żywej. Jest ona blondynką, świetnie zbudowaną i dosyć muskularną, bardzo wysmukłą i gibką w ruchach. Nic w tem dziwnego, gdyż zanim stała się śpiewaczką radjową, brała udział we wszystkich gałęziach sportu. — Interesując się wszelkiemi przejawami kultury fizycznej, a nie mogąc brać osobiście udziału we wszystkich imprezach sportowych, chętnie przysłuchiwała się sprawozdaniom radjowym. Naogół jednak sprawozdania te nie dawały jej satysfakcji, gdyż, jej zdaniem, speakerzy i speakerki radjowe nie spełniały swych obowiązków w sposób interesujący.

— W sprawozdaniach sportowych niema ani życia, ani też odpowiedniego tempa, które towarzyszy wszelkim sportowym rozgrywkom — skarżyła się swym znajomym. — I dodawała nakoniec: — Ci speakerzy zupełnie się nie znają na sportach i stąd pochodzą te niedociągnięcia.

Pewnego razu udała się do dyrekcji Broadcasting Company i oświadczyła, że będzie ona daleko lepszą sprawozdawczynią sportową, niż te, które pełnią tę rolę obecnie w radjo. Gdy otrzymała audycję, okazało się, że rezultat nie odpowiadał jej przypuszczeniom. Stwierdzono, że miss Helen może być wprawdzie dobrą sportsmenką, lecz że byłaby z niej jeszcze daleko lepsza śpiewaczka z powodu ślicznego sopranu. I tak stało się, że zamiast wygłaszać referaty sportowe w radjo, p. Helena została najbardziej znaną sopranistką radja amerykańsk.

Trzecią wkońcu szczęśliwą posiadaczką tytułu Miss Radjo 1936, jest Harriet Hilliard, urocza blondynka, którą Nils Granlund określił jako typową piękność rewjową. Po raz pierwszy zajęto się tą uroczą dziewczyną z okazji zdobycia przez nią nagrody piękności na jednej z podobnych imprez. — W miarę wzrastającej sławy stawała się ona coraz bardziej znaną, i wkońcu otrzymała audycję radjową i została na stałe już zaangażowana. Głos jej odznacza się dziwnie miękkim i ciepłym tonem, to też Harriet Hilliard jest nadwyraz popularną wśród radjosłuchaczy, zwłaszcza męskich.

Urocza trójka królowych piękności radja amerykańskiego królować będzie aż do kwietnia roku przyszłego, następnie zaś wypadnie im „abdykować". Tymczasem wszystkie trzy są popularnemi postaciami w U.S.A.

M. Lornut.



„MISS RADJO" 1936. Dorota Lamour, która otrzymała pierwszą nagrodę na konkursie piękności śpiewaczek radjowych.

Fot. Lorant — London.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

BARSZCZ Z BOTWINKI. Liście młodych buraczków wraz z łodyżkami, dobrze wypłukane, lecz nie moczone długo, osącza się z wody na durszlaku, następnie kraje w kawałki, zalewa zimną wodą i gotuje do miękkości. Osobno gotuje się w małej ilości wody odcięte poprzednio od liści buraczki, oskrobane z łupki i pokrajane w plasterki. Odcedzony smak z listków, tj. z botwinki, miesza się z ugotowanemi buraczkami, nadaje smak sokiem cytrynowym lub kwaskiem, solą i cukrem, zagotowuje i podprawia 1/4 l śmietany roztrzepanej z 1—2 żółtek i łyżeczką mąki i siekanego kopru. Barszczyk ten dobry jest na ciepło lub też zimny. W niektórych kuchniach nie odcedza się liści, lecz pozostawia je w barszczyku, który wtedy wygląda trochę gorzej, lecz jest bardzo smaczny i zdrowy. Jako dodatek ziemniaczki lub twarde jajko.

MŁODA KALAREPKA Z MASŁEM. Młodą kalarepkę obciąga się ze skórki, poczynając w miejscu odciętem od korzenia. Nigdy nie należy tej jarzyny łupać, obierając ją nożem jak ziemniaki. Oczyszczoną kalarepkę opłukuje się szybko, kraje w plastry, grubości grzbietu noża, zalewa wrzącą wodą, lekko osoloną i gotuje z dodatkiem szczypty cukru. Po ugotowaniu wysypuje się jarzynę na durszlak, aby dobrze ociekła i podaje na salaterce polaną rumianem masłem z bułeczką jak przystawkę.

SZPINAK AU NATUREL. Zupełnie młody szpinak obiera się z korzonków tak, aby pozostały same tylko listki, te rzuca się na niedużą ilość lekko osolonej wody, miesza i gotuje nieprzykryte dla zachowania koloru przez 8—10 minut, tj. tak długo, aż listek wzięty między dwa palce łatwo się da rozetrzeć. Następnie odcedza się szpinak na sicie. Zupełnie osączony z wody wykłada się, nie siekając go, na salaterkę i polewa rozpalonem masłem deserowem. Dookoła układa się osmażone na maśle poprzednio opanierowane w jajku krajanki bułki lub rożków. W ten sposób podaje się szpinak jako przystawkę w Anglji.

KROKIETKI Z RAKÓW. Na zapytanie czytelniczki z Kresów co robić z dużą ilością drobnych raków, nie nadających się do podawania w całości, podajemy następujący przepis: 30 małych raków ugotować w słonej wodzie z kminkiem i koprem, następnie wyłuzować ze skorupek wszystko, co jadalne wraz z drobną czerwoną ikrą samiczek. Skorupki tłucze się drobno w moździerzu i smaży przez 10—15 minut, dodawszy 10 dkg masła, następnie wyciska przez płótno do zimnej wody, poczem zbiera się ścięte masło osiadłe na powierzchni wody. 4 małe bułeczki okrawuje się ze skórki i zalewa troszką mleka, aby rozmokły, następnie wyciska i rozciera z zebranem poprzednio masłem rakowem, dwoma żółtkami i 1 białkiem. Inne dodatki są: mleczko cielęce, uduszone na maśle, gęsia wątróbka, ugotowana w słonej wodzie, kawałek białego mięsa z piersi kury, wszystko drobno posiekane. Wkońcu dodaje się wyłuzowane mięsko z raków i szczyptę białego pieprzu. Skontrolowawszy ten farsz, czy dość słony, formuje się małe podłużne krokietki, zawija je w lekko zwilżone białe, zwykłe opłatki, panieruje w jajku i bułeczce i osmaża pływająco na maśle jak pączki. Masło musi być dobrze rozpalone. Podaje się z młodemi jarzynkami lub szparagami.

KURCZĘTA NADZIEWANE KOPREM. Oczyszczone kurczęta nadziewa się poniżej podaną nadzianką, wsuwając ją pod skórę na piersi tak daleko, aby cała pierś aż po odnóża była nadzianką wypełniona. Na nadziankę bierze się dwie otarte ze skórki w mleku rozmoczone i następnie wyciśnięte bułeczki, miesza z utartą osobno łyżką masła z dwoma żółtkami, dodaje kilka łyżek siekanego koperku oraz soli do smaku, wkońcu pianę ubitą z 1 białka i łyżkę tartej bułki. Nadziane kurczęta zaszywa się, aby nadzianka nie wypłynęła, owija w cienkie płatki młodej słoninki i piecze w piecyku przy częstem polewaniu wypływającym sokiem. Podaje się pokrajane w ćwiartki na ryżu, ułożonym płasko na półmisku. Osobno sałatę zieloną lub mizerję.

BUDYŃ W DWÓCH KOLORACH. 10 dkg masła, 10 dkg cukru i 16 dkg mąki rozetrzeć, następnie zalać ½ litrem wrzącego mleka i ubijać na ogniu, aż się utworzy gęste gładkie ciasto, które się wykłada na miskę i ubija dalej dodawszy 6 żółtek i 4 dkg tłuczonych migdałów lub orzechów; wkońcu domieszać pianę z 6 białek. Ciasto dzieli się na dwie części, jedną wkłada się do formy budyniowej i gotuje na parze przez kwadrans, poczem nakłada się drugą część ciasta, do którego dodajemy 8 dkg czekolady waniljowej, rozmiękczonej w cieple, następnie gotuje się dalej trzy kwadranse na parze. Podaje się z sosem waniljowym lub bitą śmietanką.

MUS Z JABŁEK. 1 duże jabłko, obrane ze skórki, upieczone. Wyjąwszy pestki utrzeć je na masę. Wbić i białko, posypać 2-ma dkg cukru i ucierać na gęstą, białą masę. Można podać z kofiturami.

Szyc. Korska.



ŁADNE PODAWANIE SZPINAKU

Podany w naszych przepisach szpinak „au naturel" można podać albo z krajankami z bułki osmażanemi na ryżowemi, albo też z twardemi jajami, ładnie podzielonemi i ułożonemi w gwiazdki. Oba nasze zdjęcia ilustrują jak podawać szpinak, który jak najczęściej winien znaleść się na naszych stołach.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu iedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 23 — **Maj** — Dni 31
Niedziela **31** Zielone Święta	Zupa rakowa. Kalarepka z masłem. Kurczęta nadziewane koperkiem. Mizerja na śmietanie. Budyń czekoladowy z kremem. Kolacja: Zimny półmisek z zieloną sałatą.
Poniedziałek **1** Poniedz. Ziel. Ś.	**Czerwiec** — Dni 30 Zupa szczawiowa z ryżem. Móżdżek cielęcy w naleśnikach. Zrazy nelsońskie lub bite z kaszą. Krokietki z sera z śmietaną. Kolacja: Szpinak z grzankami.
Wtorek **2** Erazma bisk.	Barszcz z botwinki z ziemniaczkami. Kruszka cielęce w sosie z ziemniaczkami. Rozbef z sałatą. Krem z rabarbaru. Kolacja: Pierożki ruskie z śmietaną.
Środa **3** Klotyldy † S. dn.	Rosół "Julienne". Sztuka mięsa z sosem chrzanowym. Perliczka z młodemi jarzynkami. Kompot mieszany. Kolacja: Sałata włoska, chleb z masłem.
Czwartek **4** Kwiryna b.	Zupa cytrynowa. Budyń z wątróbek. Zraziki cielęce w pomidorowym sosie z makaronem. Krem kawowy z waflami. Kolacja: Leniwe pierogi lub jaja w śmietanie.
Piątek **5** Bonifacego S. dn.	Zupa grzybkowa z lanem ciastem. Rizotto z zielonym groszkiem. Krokietki z raków lub sandacz z jajem. Omlet z konfiturą. Kolacja: Jaja sadzone na szpinaku.
Sobota **6** Norberta † S. dn.	Krupnik na śmietanie z koperkiem. Jaja siekane na muszelkach. Gołąbki nadziewane z sałatą. Galaretka owocowa. Kolacja: Płatki z szynką.

(Dokończenie ze str. 26)

rzędów, następnie zakańczamy rzędem słupków ścisłych i półsłupkami z odejmowaniem.

Teraz odwracamy rękawiczkę, aby dorobić mankiet. Na całym obwodzie szydełkujemy półsłupki. Drugi rząd to słupki raz nawijane w odstępach co dwa oczka w powietrzu. Trzeci rząd stanowią znów półsłupki na całym obwodzie. Od rzędu czwartego rozpoczyna się właściwy deseń mankieta. Każdy rząd zamykamy krytem łączeniem i wychodzimy na następny zapomocą łańcuszka: jedno oczko do półsłupków, trzy oczka do słupków raz nawijanych.

Mając 3 rzędy zrobione na mankiet, robimy dalsze, odliczając wzór:

rząd 4-ty i 5-ty: cztery słupki raz nawijane, dwa oczka w powietrzu, 4 słupki, dwa w powietrzu, 4 słupki itd. naokoło,

rząd 6-ty :cztery słupki raz nawijane (nad słupkami poprzedniego rzędu), 3 oczka w powietrzu. 4 słupki, 2 w powietrzu, 4 słupki, 3 w powietrzu, 4 słupki, 2 w powietrzu, 4 słupki, 3 w powietrzu itd. naokoło.

rząd 7-my: 4 słupki, 4 oczka, 4 słupki, 2 oczka, 4 słupki, 4 oczka, 4 słupki, 2 oczka, 4 słupki, 4 oczka itd. naokoło,

rząd 8-my: 4 słupki, 5 oczek, 4 słupgi, 2 oczka, 4 słupki, 5 oczek, 4 słupki, 2 oczka, 4 słupki, 5 oczek itd. naokoło,

rząd 9-ty: 4 słupki, 6 oczek, 4 słupki, 2 oczka, 4 słupki, 6 oczek, 4 słupki, 2 oczka, 4 słupki itd. naokoło,

rząd 10-ty: 4 słupki, 7 oczek, 4 słupki, 2 oczka, 4 słupki, 7 oczek, 4 słupki, 2 oczka itd. naokoło,

rząd 11-ty: 4 słupki, 8 oczek, 4 słupki, 2 oczka, 4 słupki, 8 oczek, 4 słupki, 2 oczka itd. naokoło,

rząd 12-ty: 4 słupki, 9 oczek, 4 słupki, 2 oczka, 4 słupki, 9 oczek, 4 słupki, 2 oczka itd. naokoło,

rząd 13-ty: 4 słupki, 10 oczek, 4 słupki, 2 oczka, 4 słupki, 10 oczek, 4 słupki, 2 oczka itd. naokoło,

W ten sposób szydełkując, mamy w 10-ciu rzędach grupy 4-rech słupków zawsze nad sobą, podobnie jak dziurki na 2 oczka łańcuszkowe. Także ponad sobą mamy szeregi coraz to dłuższych łańcuszków od 2—10.

W następnych sześciu rzędach zamkniemy tak rozpoczęte wydłużone stylizowane listki, przez zbliżanie ku sobie grup 4-słupkowych. Tło będziemy mieć z raz nawijanych słupków tworzących dziurki, robione jak na całej rękawiczce nie nad sobą, lecz ukośnie, co uzyskujemy przez umieszczanie słupków na łańcuszku poprzedniego rzędu, a nie jednego nad drugim.

Grupy 4-rech słupków zaczynać się będą obecnie o jedno oczko dalej. Czwarty słupek natomiast robiony będzie już na pierwszem oczku łańcuszka poprzedniego rzędu. Ponieważ, zaczynając każdy nowy rząd, nie możemy uzyskać potrzebnej grupy 4-słupkowej, wbijamy po zrobieniu trzech oczek na powietrzu, następny słupek w trzecie oczko (omijając jedno), następny w czwarte, a ostatni w pierwsze oczka łańcuszka.

Przystępujemy do szydełkowania dalszych rzędów wedle tych objaśnień:

rząd 14-ty: 4 słupki, 7 oczek w powietrzu, 4 słupki (pierwszy na ostatniem oczku łańcuszka poprzedniego rzędu), 2 dziurki (słupek zahaczony w środek poprzedniej dziurki), 4 słupki, 7 oczek w powietrzu, 4 słupki, 2 dziurki itd. wokoło,

rząd 15-ty: 4 słupki (z mijaniem jednego oczka poprzedniego rzędu a czwartym słupkiem na pierwszem oczku łańcuszka poprzedniego rzędu), 5 oczek, 4 słupki, 3 dziurki, 4 słupki, 5 oczek, 4 słupki, 3 dziurki, 4 słupki itd. wokoło,

rząd 16-ty: 4 słupki (zaczynając jak rząd poprzedni z ominięciem jednego słupka poprzedniego rzędu), 3 oczka w powietrzu, 4 słupki, 4 dziurki, 4 słupki, 3 oczka w powietrzu, 4 słupki, 4 dziurki itd. wokoło,

rząd 17-ty: 4 słupki (zaczynając jak rząd poprzedni z ominięciem jednego słupka poprzedniego rzędu), 1-no oczko w powietrzu, 4 słupki, 5 dziurek, 4 słupki, 1-no oczko w powietrzu. 4 słupki, 5 dziurek itd. wokoło,

rząd 18-ty: 7 słupków, 6 dziurek, 7 słupków, 6 dziurek itd. wokoło,

rząd 19-ty: 5 słupków, 3 dziurki, 3 słupki (nad 3-cią i 4-tą dziurką poprzedniego rzędu), 3 dziurki, 5 słupków, 3 dziurki, 3 słupki, 5 słupków itd. wokoło,

rząd 20-ty: 3 słupki, 3 dziurki, 5 słupków, 3 dziurki, 3 słupki, 3 dziurki, 5 słupków, 3 dziurki, 3 słupki itd. wokoło,

rząd 21-szy: jeden słupek (na który przechodzimy jak w poprzednich rzędach 3-ma oczkami w powietrzu), 3 dziurki, 3 słupki, 1-na dziurka, 3 słupki, 6 dziurek, 3 słupki, 1-na dziurka, 3 słupki, 6 dziurek itd. wokoło, przyczem na końcu rzędu robimy już tylko 3 dziurki, które z początkowemi trzema dadzą razem 6 dziurek, jak się powtarza w tym rzędzie,

rząd 22-gi: jeden słupek nad dziurką poprzedniego rzędu, na który wchodzimy po zrobieniu trzech oczek łańcuszkowych, 2 dziurki, 3 słupki, 2 dziurki, 3 słupki, 5 dziurek, 3 słupki, 2 dziurki, 3 słupki, 5 dziurek itd. wokoło, przyczem w końcu rzędu robimy nie 5 lecz 3 dziurki, jako uzupełnienie 2-ch, zrobionych na początku rzędu,

rząd 23-ci: 1-na dziurka (na którą wchodzimy jak w poprzednich rzędach), 3 słupki, 3 dziurki, 3 słupki, 4 dziurki, 3 słupki, 3 dziurki, 3 słupki, 4 dziurki itd. wokoło, przyczem na końcu robimy nie 4-ry lecz 3 dziurki, jako uzupełnienie 1-nej zrobionej na początku rzędu,

rząd 24-ty: jak rząd 22-gi,

rząd 25-ty: jak rząd 21-szy,

rząd 26-ty: 1-na dziurka, 5 słupków, 7 dziurek, 5 słupków, 7 dziurek, 5 słupków, 7 dziurek itd. wokoło, przyczem na końcu rzędu robimy tylko 6 dziurek, jako uzupełnienie 1-nej, zrobionej na początku rzędu,

rząd 27-my: 1-na dziurka, 3 słupki, 8 dziurek, 3 słupki, 8 dziurek, 3 słupki 8 dziurek itd. wokoło, przyczem ostatnich jest tylko 7 dziurek, bo 1-na zrobiona była na początku rzędu.

Następny rząd to już same dziurki, a ostatni: same półsłupki jako zakończenie mankietu rękawiczki.

Rękawiczka na lewą rękę robiona jest zupełnie podobnie, tylko przy rozpoczynaniu palców zachodzą zmiany. Po zrobieniu 14tu rzędów, od rozpoczęcia dodawania oczek, na rząd 15-ty robimy 14 dziurek, następnie łańcuszek na 12 oczek, który łączymy z dziurką 15tą licząc wstecz, a więc z tą, która została wykonana w całości w jednej dziurce poprzedniego rzędu, jako rozszerzenie rękawiczki. Dalszy ciąg palca jak w poprzedniej rękawiczce.

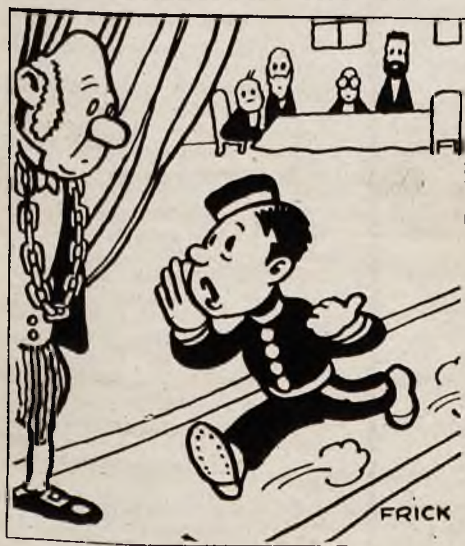
Po zrobieniu następnie 11-tu rzędów tła rękawiczki, wykonujemy palce tak samo jak w pierwszej rękawiczce z tą tylko różnicą, że palce rozpoczynamy nie od zewnętrznej strony lecz od wnętrza dłoni.

Mankiet jest dosłównem powtórzeniem poprzedniego.

Ten opis wykonania rękawiczki można oczywiście zmienić zależnie od wielkości dłoni i wymiarów palców, przez dodawanie lub ujmowanie z obwodu odpowiedniej ilości dziurek.

Mewa.

BROŃ PRZECIWKO UROKOWI.



Boy: — Prędko! Tych trzynastu żąda, aby im ustawić stół w podkowę...

NA SCENIE.

W 15-tą rocznicę zgonu **Tadeusza Rittnera** wznowił **Teatr Narodowy w Warszawie** jego komedję **„Głupi Jakób"**. Przedstawienie jest jednem z najlepszych w Teatrze Narodowym, gdyż doskonałą sztukę zagrano wybornie. O „Głupim Jakóbie" pisze K. Wierzyński: „Komedja jest żywa od pierwszej sceny do ostatniej, poprzez wszystkie postacie i we wszystkich aspektach. Pisana jest ze staranną troską o każdy szczegół i jednocześnie z czujną uwagą nad wyrazem całości. Najwyższej klasy kunszt pisarski pozwolił Rittnerowi już w pierwszym akcie, jeśli nie powiedzieć wszystkiego, to wszystko zapowiedzieć. Pomimo tego w dwu następnych nasze zaciekawienie i przejęcie nie słabnie ani na chwilę. Pointy aktów trafiają w samo serce widowni, akcja rozgrywa się z rosnącem natężeniem, finał wprowadza słuchacza w głęboki, nieprzemijający nastrój". Rolę tytułową gra dobrze Hnydziński, Hanię delikatnie Romanówna, wybornie Martę Dulęba, doskonale eksporucznika Maszyński, a rolę Szambelana **Junosza-Stępowski.** — Rolę tę, zdaniem Wierzyńskiego, zagrał Junosza tak, że „powinna zlecieć się do nas cała Europa, by oglądać tego wielkiego aktora. Z drobiazgowo opracowanych szczegółów złożyła się rzadko widywana całość, utrzymywana w jednolitym tonie i pełna takiego kunsztu, że właściwie niewiadomo, czy to ktoś grał na scenie Szambelana, czy też on sam po niej chodził".

Drugi nasz najznakomitszy artysta — **Stefan Jaracz** — którego grę również powinna oglądać cała Europa, podróżuje obecnie wraz ze Stanisławą Perzanowską po Polsce, dając w wielu miastach i miasteczkach przedstawienia dwuosobowej sztuki **„Zamach"** Somina. Niedawno był Jaracz w **Wilnie**, gdzie gra jego w tej sztuce wywołała, podobnie jak w Warszawie, wstrząsające wrażenie. Jeden ze sprawozdawców notuje tak swoje wrażenia i spostrzeżenia: „Jaracz w „Zamachu" wygrał całą bogatą gamę przeżyć i odczuć wstrząsających człowiekiem, miejscami bez słów. Te chwile milczenia, zamyśleń, usiłowanie przypomnienia sobie faktów i ich kolejności, podejrzenia, przerażenia, przejść od rozpaczy do wmawianego w siebie spokoju, były mistrzowskie, mówiły więcej niż słowa. Jest doprawdy prawdziwą dla widza rozkoszą, śledzić grę rysów Jaracza, te myśli przebiegające pod czaszką, które się czyta jak w otwartej książce, ten i ów nieskoordynowany, niedokończony ruch ręki, zawahanie się kroku. Tak gra artysta, który przejrzał nawskroś serce ludzkie, zna tajniki jego załamań, wahań, nadziei, radości i cierpień". Obok Jaracza w sztuce tej, po Eichlerównej, kreację stwarza obecnie Perzanowska.

W Wilnie w ostatnich tygodniach obserwowano ciekawy „trick" teatralny. Popularną **„Trafikę pani generałowej"** Bus-Feketego grano równocześnie w dwóch teatrach. **Na Pohulance** wystawiono „Trafikę" jako komedję dramatyczną, w teatrze **„Lutnia"** jako komedję muzyczną, do której melodje, piosenki, skomponował Wilnianin, S. Konter. Publiczność biegała naturalnie (i biega jeszcze) z jednego teatru do drugiego, by porównywać te dwa przedstawienia. Obecnie Teatr na Pohulance otworzył w parku swój Teatr Letni, a jego sezon komedją Huxleya **„Wiosenne porządki"** z Elżbietą Wieczorkowską w roli głównej.

Teatr Kameralny w Częstochowie gra komedję Bus-Feketego **„Pieniądz to nie wszystko"**, której 18 obrazów sprawnie wyreżyserował Bończa, a pomysłowo dekoracyjnie rozwiązał Rybkowski. Główne role kochanków grają Irena Tomaszewska i Juljusz Balicki, walnie przyczyniając się do powodzenia komedji, a w innych rolach budzą wesołość Stanisławska, Tańska, Przeradzki, Kwaskowski, Wybrański, Bernatowicz i Małatyński. **(b.).**

To warto poznać...

NOWE KSIĄŻKI.

Gazeta jest przedmiotem pierwszej potrzeby, czytanie gazety stało się nałogiem. Gazetę czyta każdy.

„Od czytania gazety zaczyna się dzień współczesnego człowieka, na gazecie często się kończy. Bo któż jest w stanie przeczytać przy rannej kawie tyle kolumn i szpalt, zatrzęsienie wiedzy dnia współczesnego. Człowiek, który nie przeczyta gazety, czuje się źle, czuje, że czegoś mu brak...". Tak **Ludwik Tomanek**, pedagog, literat i dziennikarz w jednej osobie, określa stosunek człowieka do gazety. Mało jednak kto zdaje sobie sprawę jak niezmiernie trudnem, odpowiedzialnem i niszczącem zdrowie, jest powołanie dziennikarza, mało kto wie, jak redaguje się gazetę, jak myśl człowieka i zdarzenia świata przyoblekają się w kształt drukowanego słowa.

Sprawom tym poświęcił swą najnowszą publikację Ludwik Tomanek, wydając w „Bibljotece dla dzieci i młodzieży" (nakl. Pallas, Kraków) książeczkę p. t. **„Wszyscy mnie czytają"**, a poświęconą właśnie opisowi pracy redakcyjnej i technicznej przy powstawaniu gazety i pism. Praca Tomanka przeznaczona jest dla młodzieży, ale i dorośli przeczytają ją z dużym pożytkiem, bo nauczą się niejednego.

Z technicznych opisów dziennikarskiego i drukarskiego warsztatu pracy, wybrnął Tomanek szczęśliwie, bo przystępnie, barwnie, lekko, z humorem, a niejednokrotnie z ładnem literackiem porównaniem.

Wanda Wasilewska wydała nową powieść dla młodzieży p. t. **„Legenda o Janie z Kolna"** (nakl. „Naszej Księgarni"). Powieść ta poświęcona jest romantycznemu życiu i czynom legendarnego podróżnika i żeglarza Jana z Kolna, towarzysza Władysława Jagiellończyka, który jeszcze przed Kolumbem, usiłował odkrywać nieznane morza i lądy. Zginął w czasie wędrówki po morzach, wśród gór lodowcowych. Książka tętni gorącą miłością dla potężnego żywiołu, jakim jest morze, a napisana jest z wielkim kunsztem literackim, który jej wróży poczytność i starszego pokolenia. **(swb).**



NIEDZIELA 31 MAJA.

8.00: Audycja poranna.
10.00: Transmisja nabożeństwa przed gmachem Wojew. Śląsk. w Katowicach, z okazji Jubileuszowego Zjazdu Śpiewaków Śląsk.
12.15: Popularny poranek muzyczny z Wilna.
14.45: „Trzy zbiory w dwóch latach" — pogadanka.
16.30: Muzyka pogodna (płyty).
17.00: „1000 taktów muzyki" — gra zespół Stefana Rachonia.
18.00: „Wakacje w Nohant" — słuchow. oryg. J. Iwaszkiewicza.
18.30: Koncert w wyk. Orkiestry P. R. pod dyr. M. Mierzejewskiego.
21.00: „Na wesołej lwowskiej fali".
21.30: Transmisja ze Lwowa, fragm. koncertu jubileuszowego Polskiego Towarzystwa Śpiewaczego „Echo-Macierz".
22.20: Muzyka taneczna w wykonaniu zespołu Adi Rosnera.

PONIEDZIAŁEK 1. VI.

10.00: Najpiękniejsze melodje Franciszka Schuberta (płyty).
12.03: Poranek muzyczny (ze Lwowa).
15.30: „Piosenki i wierszyki" Marji Konopnickiej — aud. dla dzieci młodsz.
15.45: Koncert popularny w wyk. Orkiestry Filharm. z Ciechocinka.
17.00: Muzyka lekka.
18.20: Recital fortepianowy Bolesława Woytowicza.
19.30: Koncert Kwartetu Salonowego Rozgłośni Krakowskiej.
20.00: Recital śpiewaczy Heleny Zboińskiej-Ruszkowskiej.
20.30: „Na fundamencie nieszczęśliwej miłości" — feljeton.
21.00: Koncert w wykonaniu Orkiestry Maryn. Wojen. pod dyr. A. Dulina.
22.30: Muzyka taneczna.

WTOREK 2. VI.

6.30: Audycja poranna.
12.15: Audycja dla szkół „Śpiewajmy piosenki".
12.35: Same marsze (płyty).
16.00: Koncert w wykonaniu zespołu F. Raabego z Poznania.
17.00: Utwory fortepianowe na 4 ręce w wyk. Ignacego Rosenbauma i J. Sulikowskiego.
17.30: Mała orkiestra P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego.
19.00: Recital wiolonczelowy Tadeusza Lifana.
19.45: Wyścig piosenek — potpourri muzyczne.
20.30: „Prus i Sienkiewicz, a ekspedycja z r. 1882 do Kameruna" — szkic lit.
21.00: Koncert muzyki operowej w wyk. Ork. Symf. P. R.
22.25: Transmisja muzyki tanecznej z Ciechocinka.

ŚRODA 3. VI.

12.03: Muzyka lekka i taneczna z basenu w Ciechocinku.
12.55: „Sianokosy" — gawęda inż. Jana Rapackiego.
15.45: Teatr Wyobraźni „Uczeń Sowizdrzała" — słuchowisko dla dzieci starszych.
17.00: Arje i pieśni w wykonaniu Walentyny Wałowskiej.
17.25: Koncert kameralny w wykon. Warsz. Kwartetu Smyczkowego.
19.00: Polska Kapela Feliksa Dzierżanowskiego.
20.00: Muzyka operetkowa.
20.30: „Wędrówka mikrofonu po prowincji".
21.00: Pierwsza audycja chopinowska z cyklu „Kandydaci do Międzynarodow. Konkursu Chopinowskiego".
22.15: Trio salonowe.
22.45: Muzyka taneczna — transmisja z Café Club.

CZWARTEK 4. VI.

12.03: Koncert w wyk. Zespołu Haliny Adamskiej.
15.45: „Wywiad" Kazimierza Piekarczyka — opowiad. z życia harcerzy.
16.00: Piosenki dla dzieci.
16.15: Koncert popularny z Ciechocinka.
17.50: „Higjena odżywiania dziecka w lecie" — pogandanka.
19.00: „Znów tajemnicza fala! Przerywamy audycję" — premjera słuchowiska.
19.30: Recital fortepianowy Janiny Familier-Hepnerowej.
20.00: Transmisja z Międzynarodowych Zawodów Konnych.
21.00: „Nasze pieśni" w wykonaniu Maurycego Janowskiego.
21.30: Wolfgang Amadeusz Mozart: Kwartet g-moll.
22.05: „Sport w miastach i miasteczkach" (z Wilna).
22.15: Transmisja z kawiarni „Ziemiańskiej" w Łodzi i muzyka taneczna.

Piątek, 5 czerwca.

12.03: Muzyka z płyt.
12.15: Audycja dla szkół z okazji „Dnia spółdzielczości".
16.00: Koncert muzyki lekkiej w wyk. orkiestry 56 pp.
17.00: „Serenady" — w wyk. ork. kamer. pod dyr. Adama Hermana.
19.00: „Życie człowieka w pieśni" — koncert.
19.45: „W sklepie ha! ha! ha!" — audycja muzyczna.
20.30: „Dwie groteski" — Magdaleny Samozwaniec.
21.00: Koncert symfoniczny w wykonaniu orkiestry Sym. P. R.
22.15: Muzyka lekka z Ciechocinka oraz muzyka taneczna z płyt.

Sobota, 6 czerwca.

12.03: Zespół salonowy Pawła Rynesa.
14.30: Orkiestra Eduardo Bianco i Adam Aston — śpiew.
14.35: „Album z Polski" — audycja dla dzieci młodszych.
16.00: Koncert solistów z Kościoła Św. Piotra i Pawła, poświęcony Ks. Piotrowi Skardze.
16.40: „Nasz dostęp do morza dawniej i dzisiaj" — odczyt.
17.00: „Rozśpiewany Wiedeń" — koncert w wykonaniu pięciu tysięcy artystów na wiedeńskim stadjonie. Transmisja z Wiednia. Erna Sack oraz Jan Kiepura.
20.00: Transmisja z Międzynarodowych Zawodów Konnych w Warszawie.
21.00: Koncert muzyki szwedzkiej z okazji święta narodowego Szwecji.
21.45: Kukułka taneczna z Ciechocinka oraz muzyka z płyt

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego Magazynu »As«, zamieszcza Redakcja bezpłatnie.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.